GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 SIERPNIA 1933
NR. 15-16 ROK III

CENA NUMERU ZŁ. 1.20 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 15—16
1933 R.
I — VIII

ZDARZENIA i POGLĄDY

DALSZY ETAP.

Wbrew oczekiwaniom nie wyczuwa się w opinji rozczarowania, „kacenjameru", z tytułu braku pozytywnych rezultatów londyńskich obrad. Zapewne główną przyczyną jest poprostu to, iż w przeciwieństwie do poprzednich konferencyj międzynarodowych nie liczono na sukces konferencji londyńskiej. Obok tego jednak spotykamy się z objawami zupełnie rzeczowego zadowolenia i stwierdzić należy, że niektóre objawy dają do niego podstawę. Dużą wartość posiada przedewszystkiem fakt, że na konferencji londyńskiej interesy i rzeczywiste tendencje polityki gospodarczej poszczególnych państw wystąpiły bodajże po raz pierwszy bez obsłonek, z całą wyrazistością i niedwuznacznością. Nie przesądzając, czy metoda współpracy międzynarodowej odegra jakąś rolę w likwidacji kryzysu, stwierdzić należy, że po konferencji londyńskiej łatwiej będzie rozmawiać w płaszczyźnie międzynarodowej, nie dlatego, ażeby przeciwieństwa uległy złagodzeniu, a poprostu dlatego, że usunięta została część balastu zakłamania, ciążącego dotychczas na wszystkich próbach współpracy międzynarodowej. Jasność obrazu sytuacji międzynarodowej ma również duży walor dla prowadzenia przez poszczególne państwa na własną rękę własnej polityki gospodarczej. Tu zresztą dotykamy już drugiego momentu, o jeszcze większem znaczeniu. Na konferencji londyńskiej nie stało się nic, coby mogło skrępować swobodę ruchów państw, trzymających się własnej, ostrożnej i rozsądnej linji polityki gospodarczej. Dla nas ma to szczególne znaczenie. Że nie udało się osiągnąć więcej, to było zgóry do przewidzenia i to zresztą przewidywała Gospodarka.

Międzynarodowe wytyczne dla polityki poszczególnych krajów na dalszy etap nie zostały w postaci uchwał konferencji stworzone. Żadne z ugrupowań państw nie zdołało narzucić innym swego pojmowania najwłaściwszych metod polityki w okresie kryzysu. Czy można znaleźć wytyczne Instytuty badania konjunktur notują już od konjunkturalnego? Trudno twierdzić, z dostateczną pewnością, że weszliśmy w okres likwidacji kryzysu. Wprawdzie zarówno nasz, jak i zagraniczne Instytutu badania konjunktur notują już od pewnego czasu mnożące się oznaki poprawy, lecz czynią to z daleko idącemi zastrzeżeniami. Najbliższe miesiące wyjaśnią, w jakim stopniu mamy do czynienia z procesem organicznym, w jakim zaś z refleksami kolejnej fazy amerykańskiej polityki nakręcania konjunktury. Ale taki czy inny rozwój wypadków nie może przesądzić wytworzenia się ogólnego, wspólnego poglądu. Zawsze zapewne pozostanie pewna grupa państw i pewna kategorja umysłów skłonnych, wbrew — zdawałoby się — niezbitym faktom, upatrywać źródła poprawy nie w „samolecznictwie" kryzysowem, a w „akcji antykryzysowej". Jednakowoż dla państw, jak Polska, prowadzących ostrożną i zbliżoną do formuł klasycznych, politykę kryzysową, ostatni okres kryzysu równie jak rezultaty Londynu potwierdza słuszność obawy przed stosowaniem „pomysłowych" antykryzysowych recept.

JÓZEF PONIATOWSKI

KRYZYS ZAUFANIA

To, co nazywane jest pospolicie kryzysem zaufania, jest naturalną konsekwencją rozpanoszenia się w stosunkach międzyludzkich oportunizmu. Zwalczanie tego kryzysu przez zalecanie zaufania bez stworzenia dla niego warunków rodzi sceptycyzm i rosnącą nieufność.

Po uproszczonem i mechanicznem załatwieniu się z psychiką ludzką przez ekonomję klasyczną i przez jej antagonistę — socjalizm naukowy, po niezbędnej reakcji w postaci prac szkoły psychologicznej, liczenie się z pierwiastkami duchowemi ponownie wyszło z mody wśród ekonomistów. Stało się zato coraz bardziej modne wśród polityków, znacznej części publicystów i w t. zw. szerokiej opinji. Powoływanie się na „irracjonalny" odruch społeczeństwa pozostało dogodną furtką dla różnego pokroju działaczy i proroków, którzy wszystko doskonale obliczyli, a ujemy wynik zawdzięczają tylko interwencji „czynnika psychicznego", traktowanego jako coś w rodzaju „siły wyższej", nie poddającej się przewidywaniom. Ten metafizyczny charakter bywa powszechnie przydawany zjawiskom, których mechanizm jest trudny do uchwycenia. Ekonomiści współcześni zamało uwagi poświęcają wyjaśnieniom mechanizmu zależności między procesami psychicznemi i gospodarczemi. Unikają tej dziedziny z pewną wstydliwością. Przyszła w ekonomji moda na matematykę, na ograniczanie się do zagadnień, dających się ująć w ścisłe związki funkcjonalne, wszystko inne to „poezja nie nauka„ Dużo w tem tkwi świadomej lub podświadomej obawy, by nie być zaliczonym do rzędu tych „magików", którzy powołują się w każdej sytuacji na psychikę społeczną bez sprecyzowania o co chodzi, tak jak podrzędni lekarze prowincjonalni lubili się powoływać na „nerwy" w wypadkach trudności djagnostycznych.

Tak czy inaczej, niechęci teoretyków odpowiada rosnąca potrzeba związania zjawisk psychologji społecznej ze zjawiskami gospodarczemi. Przejrzyste i przekonywujące wyjaśnienie związków przyczynowych odebrałoby reakcjom psychicznym ich dzisiejszy, magiczny charakter.

Nie siląc się, w ramach artykułu publicystycznego, na dociekanie teoretyczne, pragnę na aktualnym i niepozbawionym praktycznej doniosłości przykładzie wykazać, że „magiczne" traktowanie elementu psychicznego przynosi zupełnie realne i dalekie od metafizyki szkody. Chodzi mi o stosunek t. zw. kryzysu zaufania do powszechnego kryzysu gospodarczego.

Coraz bardziej upowszechnia się w wielu krajach, m. in. także w Polsce opinja, jakoby objektywne przyczyny dalszego trwania kryzysu gospodarczego już ustąpiły, a nadejściu poprawy stał na przeszkodzie jedynie brak zaufania. Ów brak zaufania miałby być czemś w rodzaju plagi egipskiej z Nieba spadłej, albo conajmniej psychozy, masowego obłędu. Ludzie powinni ufać, kupować, inwestować, lokować sumy stezauryzowane, a nie czynią tego. Jak zwykle wobec zjawiska niedostatecznie rozumianego zalecana jest przeróżna terapja. Nietylko zalecana, ale i stosowana w praktyce. We wszystkich krajach czynione są wysiłki ku przełamaniu kryzysu zaufania. Za klasyczny można uważać przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie od samego początku recesji, niezależnie od zmian większości kongresu i ludzi, stojących u władzy, budzenie optymizmu pozostaje naczelnym postulatem polityki gospodarczej, postulatem, któremu poddaje się wiele praktycznych decyzyj. Udało się rzeczywiście już parokrotnie wywołać pomimo trwającego przesilenia falę spekulacji zwyżkowej, co dowodzi niemałego opanowania techniki robienia optymizmu. Czy po załamaniu się każdej z tych fal utrwala się powszechne zaufanie — niektórzy wątpią.

Niema i w Starym Świecie kraju, gdzie nie podejmowanoby daleko idących prób fabrykowania optymizmu, który bywa utożsamiany z zaufaniem. Rząd włoski potrafił przez blisko rok utrzymać swe społeczeństwo w przekonaniu, że przesilenie nie dotrze do ich pięknego kraju. Na marginesie tej akcji osuszono część bagien rzymskiej Campanii, oraz nie mniej gruntownie — rezerwy skarbowe. Mniej kosztownym środkiem jest propaganda i statystyka, która bynajmniej nie potrzebuje być fałszowana, by udowodnić obywatelom każdego kraju, że właśnie ich ojczyzna jest wyjątkowo słabiej nawiedzona przez kryzys niż inne kraje. Również do mało szkodliwych środków ze względu na małą skuteczność można zaliczyć różne krajowe i zagraniczne konferencje, mające w programie bardzo praktyczne cele, faktycznie zaś przeznaczone do krzewienia wiary, że oto już podjęto wspólny wysiłek dla ucięcia łba hydrze kryzysu. Łeb nie potrzebuje wprawdzie odrastać, bo go nikt na serjo nie ucina, ale tłumne zjazdy cudzoziemców są dla niektórych krajów źródłem pewnego zarobku. Zarówno udatnie zareżyserowana konferencja jak udatna propaganda wywołuje od czasu do czasu ożywienie spekulacji giełdowej. Optymizm giełdowy dlatego łatwo jest wzbudzić, że spekulacja na haussę nie wymaga zaufania do trwałości poprawy. Wystarczy ufać, że się zdąży na czas spieniężyć zakupione walory.

Bardzo doniosłym w skutkach środkiem, natury raczej negatywnej, mającym nie dopuścić do dalszego upadku zaufania, jest stosowany dziś w różnych formach w całym świecie t. zw. samarytanizm gospodarczy, t. j. sztuczne utrzymywanie przy życiu przedsiębiorstw, które normalnie „rujnująca konkurencja" musiałaby wyeliminować. Samarytanizm gospodarczy opiera się na kilku rów-

nie „murowanych" przesłankach, ale niewątpliwie jedną z głównych jest obawa, by fala bankructw nie zwiększyła pesymizmu.

Obserwując powszechną walkę z kryzysem zaufania odbiera się doprawdy wrażenie psychozy, której objektem nie są wszakże ci, którzy nie mają zaufania, ale ci, którzy usiłują to zaufanie wzbudzić.

Czy samo zagadnienie kryzysu zaufania jest realne i czy kryzys ten może być realnie zwalczany? Bez żadnej wątpliwości — tak. Czynnik zaufania gra nietylko pierwszorzędna rolę w przebiegu konjunkturalnym, ale w znacznej mierze decyduje o kierunku rozwoju gospodarczego Tak np. sprowadzenie handlu międzynarodowego do barbarzyńskiej formy wymiany naturalnej jest prostym skutkiem braku dozy zaufania, koniecznej dla normalnych stosunków traktatowych. Co zaś do możliwości zwalczania kryzysu zaufania, to są one niewątpliwie daleko większe niż w dziedzinie naprawiania konjunktury gospodarczej. Spadek zaufania powszechnego jest bowiem tylko w pewnej części automatycznie związany z przebiegiem zjawisk gospodarczych, w ogromnej części jest wywołany przez politykę i dlatego przez politykę może być leczony.

Dotychczasowe „leczenie zaufania" odbywa się podobnie, jak i leczenie gospodarstwa światowego, t. j. od przeciwnego końca. od strony objawów, a nie przyczyn. Usiłuje się leczyć bezrobocie, albo spadek cen, jako odrębne, samodzielne, zjawiska, opóźniając tem samem procesy likwidacyjne, niezbędne dla nadejścia poprawy. Równie ujemne skutki przynosi walka z brakiem zaufania, jeżeli nie jest ona odtworzeniem warunków w których może być mowa o zaufaniu.

Tu dochodzimy do zagadnienia, starannie pomijanego w najbardziej pięknych i wzruszających enuncjacjach na temat odbudowy zaufania: co właściwie rozumiemy przez to niezbędne zaufanie, co chcemy przywracać? Wszyscy mówią o potrzebie zaufania, a nie mówią, komu i czemu należy ufać. Co więcej, napewno jedni rozumieją ten termin węziej, inni — szerzej. Niekiedy wydaje się, że chodzi poprostu o zaufanie do konjunktury gospodarczej, o zaufanie, że kryzys właściwie się skończył, i o dalsze skutki takiego zaufania: inwestycje i zakupy. Podobne postawienie sprawy jest nietylko bardzo ryzykowne, ale też niewystarczające. Taka odbudowa zaufania może pozwolić na chwilowe ożywienie życia gospodarczego, nie na jego uzdrowienie. Z drugiej strony mówi się o zaufaniu wogóle. Do wszystkiego. Takie zaufanie do wszystkich i do wszystkiego jest bardzo miłą cechą osób naiwnych, ale na niem się nic wybudować nie da; stracić zaś można dużo. Gdyby deklamacje dostojnych komedjantów, rzekomo dążących do zbawienia świata, na uroczystych konferencjach, miały budzić zaufanie, byłby to jedynie pożałowania godny dowód głupoty ludzkiej. Innym rodzajem niepożądanego zaufania może być np. zaufanie we własne siły i w słabość sąsiada w kraju, pielęgnującym instynkty zaborcze. Te same ujemne skutki może sprowokować nadmierne zaufanie do sąsiada i do własnego bezpieczeństwa. Wreszcie orgja spekulacyjna jest objawem zaufania, że się coś da zarobić. Nie można utrzymywać, jakoby wszystkie rodzaje zaufania wyginęły w dobie kryzysu, ani też, by wszystkie można było społeczeństwu zalecać.

Wydaje mi się, że wszystko czego można od społeczeństwa żądać, to jest nieodmawianie zaufania tym, którzy na zaufanie w pełni zasługują. Ten pozorny truizm bynajmniej nie jest ogólnie przyjęty. Wciąż żąda się zaufania do ludzi albo do stosunków, których nikt objektywnie patrzący zaufaniem nie obdarzy. Nie znam też poważnych dowodów, któreby świadczyły o tem, jakoby społeczeństwa były nadmiernie nieufne. Jednostki o wielkim charakterze, które nigdy nie zawiodły zaufania swych społeczeństw, cieszą się nadal powszechnem zaufaniem, a nawet zaufanie do wodzów narodu w Polsce i we Włoszech w dobie przesilenia raczej wzrosło niż zmalało. Olbrzymi zaś spadek zaufania w stosunkach międzynarodowych, jak i wewnątrz poszczególnych narodów, który niewątpliwie charakteryzuje dzisiejszą chwilę, nietylko nie jest żadnem nadprzyrodzonem zesłaniem, któreby wymagało czarnoksięskich metod leczenia, lecz jest nieuniknioną i zupełnie zdrową reakcją wobec tego typu moralności, który obecnie w świecie panuje. Można mniej lub więcej logicznie bronić stanowiska, że uczciwość i szczerość w stosunkach publicznych i prywatnych nie mogą być przywrócone, a w takim razie także i zaufanie powszechne będzie coraz bardziej zanikało. Można również widzieć prawdopodobieństwo odtworzenia warunków w których zaufanie byłoby możliwe nietylko jako wyraz naiwności, a z tego stanowiska należałoby wyprowadzić pozytywny program działania. Nie można, o ile się chce być konsekwentnym, tolerować dzisiejszych metod życia publicznego, gdzie forma służy do ukrycia prawdziwej treści, nie do jej wyrażenia, gdzie zobowiązanie odrzuca się bez wahania, gdy stało się niedogodne, gdzie sankcje przeciw łamaniu zobowiązań stosuje się tylko wobec słabych, — nie można tolerować tych metod, albo je stosować i równocześnie rozdzierać szat z powodu „kryzysu zaufania" i wzywać jego powrotu. Chyba, że to rozdzieranie szat jest jeszcze jednym wyrazem obłudy, posunięciem taktycznem, mającem ułatwić osiągnięcie tych lub innych celów.

Będąc niepoprawnym optymistą, opowiadam się za możliwością przezwyciężenia kryzysu zaufania. Nieustanne niszczenie tego czynnika, bądź co bądź zasadniczego fundamentu wszelkiego współżycia, sprowadza na *całą* ludzkość tak wielkie szkody, że może kiedyś zostaną one zrozumiane. Dotychczasowy rozpęd w kierunku przeciwnym świadczy tylko, że kryzys jest dotąd zbyt łagodną lekcją, że trzeba surowszego nauczyciela. Należy przypuszczać, że przyjdzie.

Trudność zawrócenia z błędnej drogi poświęcania podstaw zaufania dla oportunizmu jest podobnej natury do trudności, z jakiemi mają do czynienia propagatorzy powszechnego rozbrojenia,

lub osłabienia protekcji celnej: wszyscy się zgadzają, że wyścig zbrojeń lub wyścig zakazów importu szkodzą wszystkim, ale każdy chciałby, żeby przed nim zawrócili inni. Stąd próby równoczesnego rozwiązania tych zagadnień dla całego świata, próby, jak dotąd, bezpłodne. Jestem daleki od pomysłu zalecania jeszcze jednej międzynarodowej konferencji, dla przywrócenia prawdy i uczciwości. Na szczęście bowiem położenie jest tu łatwiejsze. Rozbrojenie i ożywienie wymiany są niemożliwe właśnie ze względu na wzajemną nieufność ewentualnych kontrahentów. Przywrócenie zaś zaufania jest możliwe bez rozbrojenia i bez obniżenia ceł i zakazów. Naród, któryby się rozbroił, albo otworzył granice, nie czekając na innych, stanąłby wobec wielkiego ryzyka. Niestosowanie obłudy i oportunizmu choćby wszyscy inni je stosowali, nie jest znowu tak wielce niebezpieczne, jeżeli, oczywiście łączy się z dostateczną ostrożnością. Zresztą, nie mniej ważne, a nawet zpewnością ważniejsze od przywrócenia zaufania między narodami jest stworzenie warunków zaufania wewnątrz poszczególnych społeczeństw. Są nawet kraje, które świadomie stosując wszystkie drogi, proste i kręte, w praktyce zagranicznej, przystępują z dużym nakładem energji do uzdrawiania moralności i przywracania zaufania wewnątrz własnych granic, uważając jedno i drugie jako środki wzmożenia potęgi Państwa. Choćby nawet na długą metę tego rodzaju sprzeczność nie dała się konsekwentnie kontynuować, stwarza ona sytuację poważną dla krajów, które brnęłyby dalej po drodze osłabiającego je wewnętrznie lekceważenia trwałych pierwiastków współżycia.

Stworzenie wewnątrz kraju warunków powrotu zaufania zależy w znacznej mierze od rządów, jakkolwiek niepodobna twierdzić, by rządy były pod tym względem wszechmocne. Wrodzone cechy charakteru narodowego, metody wychowania, poziom oświaty, stopień dobrobytu, konjunktura gospodarcza, wpływy zagraniczne, akcja poszczególnych grup społecznych i politycznych, literatura i prasa, mogą wywierać wpływ potężny. W Polsce najbardziej podkreślają upadek zaufania, kując z niego broń w walce politycznej przeciw rządowi ci, którzy sami przez zakłamanie przyczyniają się walnie do wzrostu wzajemnej nieufności. Z drugiej strony wolno stwierdzić, że nie wszystkie dziedziny naszej polityki są przepojone zrozumieniem konieczności podporządkowywania drobniejszych celów doraźnych celom zakrojonym na dalszą metę, wśród których przywrócenie powszechnego zaufania gra pierwszorzędną rolę. Pisałem przed paru miesiącami o destrukcyjnym wpływie, jaki wywierają dzisiejsze metody wymierzania i pobierania podatków na stan zaufania pomiędzy Państwem i jego obywatelami. Ustawa t. zw. konwersyjna w imię bardzo poważnych ale doraźnych celów naraża zaufanie do instytucyj kredytu hipotecznego. Samarytanizm gospodarczy o wiele głębiej i trwalej niweczy zaufanie wewnątrz społeczeństwa, niżby to mogła uczynić fala bankructw. Przykładów łatwoby mnożyć więcej. Nie da się przywrócić zaufania bez przepojenia zarówno całego aparatu państwowego jak i całego społeczeństwa ideą walki z oportunizmem. Fałsz, nieuczciwość, to są najczęściej także formy oportunizmu, ale niemniejsze szkody wyrządzają ludzie, którzy w najlepszej intencji bezpośredniego rozwiązania doraźnych trudności zamykają oczy na pośrednie skutki trwałe. Wytworzenie przekonania, że przeciwnie, każde zagadnienie bieżące musi być rozwiązywane z troską o cele ogólne i trwałe nie jest łatwe, ale jest możliwe. Przedtem muszą ekonomiści przekonać społeczeństwo, że kierunek ewolucji psychicznej nie jest bynajmniej obojętny dla rozwoju gospodarczego.

ALEKSANDER K. IVANKA

POTRZEBY KOLEKTYWNE

„Nie można zapomocą młotka robić trawę z powrotem w ziemię".
(Przysłowie węgierskie).

Od dłuższego czasu trwają ataki, tak w Polsce jak i zagranicą, przeciwko nadmiernym wydatkom instytucyj prawno-publicznych. Walka ta nie ma określonego charakteru czy to pod względem treści wysuwanych zasad czy składu walczących. Raczej jest to bellum omnium contra omnes. Przemysłowcy występują przeciwko ubezpieczeniom społecznym, robotnicze partje polityczne przeciwko wydatkom państw na cele wojskowe, rolnicy przeciwko subsydjowaniu przemysłu, przemysłowcy przeciwko subsydjowaniu rolnictwa, rządy państw przeciwko rozrzutności gospodarki komunalnej (np. dekrety Brünninga z 1931 roku), związki komunalne przeciwko uprzywilejowaniu instytucyj ubezpieczeń społecznych (np. walka w Polsce o wysokość zwrotu kosztów szpitalnych związkom komunalnym przez Kasy Chorych), wreszcie poszczególne państwa w obawie deficytu budżetowego same martwią się wysokością swoich budżetów i skarżą się na społeczeństwa, że zadużo od państwa żądają. Takie kłębowisko, to już nie spór dwuch stron o lepsze warunki egzystencji, to zgubienie zasady wytycznej lub może poszukiwanie nowej.

Na czem polega istota zagadnienia?

Gospodarkę społeczną po wojnie cechuje silny wzrost wydatków instytucyj prawno-publicznych. Wydatki państwowe obliczane w odsetkach dochodu społecznego, stanowiły:

	w 1913 r.	*w 1925 r.*
w W. Brytanji	7,7%	20,3%
we Francji	13,2%	24,5%
w Belgji	7.4%	18,7%
w Italji	9,6%	18,6%

Wzrost wydatków spowodowany został oczywiście w dużym stopniu wzrostem zadłużenia państw z powodu wydatków poniesionych w czasie wojny. Tak więc obsługa długu wynosiła w budżecie:

	1913	*1930*
Anglji	mil. Ł. 24,5	355
Belgji	mil. fr. 203	4121
Italji	mil. lir. 614	4370

Tego charakteru wzrost wydatków nie stanowi jednak wyłącznej przyczyny wzrostu wydatków oraz bynajmniej nie stanowi istoty poruszonego na początku obrazu wzajemnych sporów. Odwrotnie, problem długów wojennych stanowi zupełnie odrębne, zamknięte w sobie zagadnienie. Możemy je wyeliminować z zestawień statystycznych, a zjawisko wzrostu wydatków instytucyj publiczno-prawnych pozostanie. Tak np. wydatki państwowe W. Brytanji bez obsługi długu i bez wydatków na wojsko i flotę wynosiły w 1913 r. 54 miljony Ł., a w 1930 r. 296 miljonów Ł.

Istota omawianego zjawiska polega na skolektywizowaniu po wojnie szeregu potrzeb ludności i zaspakajaniu ich na skutek tego przez gospodarstwa publiczno-prawne.

Jak wiemy, potrzeby nasze możemy zaspakajać albo w drodze gospodarki indywidualnej, albo zbiorowej (kolektywnej). Możemy też mówić o potrzebach jednostkowych (indywidualnych) i zbiorowych (kolektywnych). Jako potrzebę zbiorową pojmuję taką potrzebę, która na zasadzie decyzji zbiorowości ma być w drodze zbiorowej zaspakajana. Pozornie zupełna tautologja. Jednakże tak nie jest. Analiza wykazuje nam, iż nie da się podzielić potrzeb na indywidualne i kolektywne, ze względu na treść potrzeby, bowiem jedna i ta sama potrzeba w różnych warunkach może być raz jednostkową, raz zbiorową. Np. sprawa bezpieczeństwa w średniowieczu była w obrębie miasta potrzebą zbiorową, poza obrębem miasta stawała się potrzebą jednostkową, o bezpieczeństwo kupca podróżującego dbała nie gmina miejska, lecz musiał dbać o to on sam. Nie jest również kryterjum powszechność danej potrzeby. Większość potrzeb ludzkich jest identyczna (pożywienie, ubranie), a przecież są one zaspakajane indywidualnie a nie kolektywnie. Istotą potrzeby kolektywnej jest decyzja zbiorowości, że dana potrzeba zaspakajana indywidualnie ma być odtąd zaspakajana w drodze gospodarki zbiorowej. Przesłanki dla takiej decyzji mogą być różne: równie dobrze humanitarne, jak np. obowiązek gmin utrzymywania ubogich, jak gospodarcze — prowadzenie przez gminy przedsiębiorstw użyteczności publicznej.

Możemy stworzyć następujący łańcuch przyczynowy: 1) po wojnie silnie wzrosło obciążenie gospodarstwa społecznego na rzecz gospodarki instytucyj prawno-publicznych, 2) to zostało spowodowane wzrostem wydatków tych instytucyj, 3) zaś wzrost wydatków nastąpił na skutek skolektywizowania szeregu potrzeb, 4) skolektywizowanie potrzeb nastąpiło na skutek decyzji zbiorowości (we współczesnych warunkach: państwa).

I teraz powstają dwa pytania: dlaczego ten proces się odbył i jak powinno być.

W dyskusjach, które się toczą, stale właściwie stawianem jest to drugie pytanie. „Czy celowem z punktu widzenia gospodarczego jest, aby ubezpieczenia społeczne tak obciążały koszty produkcji przemysłowej?". „Czy słusznem jest, aby ponosić takie wydatki na utrzymanie psychicznie chorych? i t. d. Pytania takie wbrew pozorom nie mają charakteru li tylko gospodarczego, nie można tu odpowiedzieć poprzez kalkulację i obrachunek kosztów, cen, stopy procentowej i t. d. Dla oceny stanu faktycznego należy zdać sobie sprawę z istoty socjologicznej zjawiska i dlatego najprzód należy właściwie podjąć próbę dania odpowiedzi na pytanie: dlaczego proces ten się odbył?

Zjawisko stałego wzrostu wydatków instytucyj prawno-publicznych jest znane. Tak np. wydatki państwa (w złotych na głowę mieszkańca) wynosiły:

	w Austrji	*we Francji*
w XVI wieku	2,12	2,12
w XVII wieku	5,19	15,35
w XVIII wieku	15,80	29.02

Powodem wzrostu wydatków było tworzenie nowoczesnego państwa z płatną administracją i zaciężnem wojskiem. W miarę rozwoju gospodarczego i kulturalnego państwo zaczyna wydatkować na nowe cele, uprzednio będące poza zakresem jego zainteresowań. „Jeszcze w początkach XIX wieku nie znano w Anglji oświaty publicznej. Dzieci biednych rodziców pobierały naukę tylko w szkołach, powstałych z fundacyj prywatnych lub utrzymywanych przez towarzystwa dobroczynne i kościelne" (Radziszewski — Nauka skarbowości, str. 96). Po raz pierwszy wstawiono do budżetu angielskiego subwencje na oświatę w r. 1833. Wiek XIX zaczyna szybko mnożyć rozmiar wydatków w poszczególnych państwach. Odbywa się wszędzie silny proces kolektywizowania potrzeb: zbiorowość (państwo, samorząd) nadaje całemu szeregowi potrzeb charakter zbiorowy miast dawnego indywidualnego. Ważniejsze potrzeby kolektywne stanowiły w budżetach państw:

	W. Brytanji (milj. Ł.)		Japonja (milj. yen)		Szwecja (milj. kor.)	
	1913	1930	1913	1930	1913	193
Sprawiedl. i bezp. publ.	5	16	25	82	6	13
Oświata	19	55	10	122	30	153
Opieka społeczna	21	97	.	.	20	111

Potrzeby kolektywne są zaspakajane oczywiście poprzez gospodarkę państwa, samorządu i ubezpieczeń społecznych. Brak statystyk międzynarodowych utrudnia możliwie pełne zobrazowanie zaspakajania potrzeb kolektywnych. pozwolę sobie jedynie przytoczyć dane dla Polski i Niemiec.

Wydatki instytucyj prawno-publicznych w 1929/30 r. (miljony złotych):

	Ogółem	W tem na:				Stosunek wydatków ogółem do dochodu społecznego
		Sprawiedliwość i bezpiecz. publ.	Oświata	Opieka społ. i zdrowie publ.	Drogi	
Polska	4.764	425	678	839	299	23.8%
Państwo	2.993	375	458	116	60	15.0%
Samorz. ter.	1.285	55	220	237	239	6.4%
Ubezp. społ.	486	—	—	486	—	2.4%
Dochód społ.	20.000	—	—	—	—	
Niemcy	56.921	5.492	7.912	20.429	3.744	35.3%
Rzesza i panst.						15.9%
zw.	25.727	4.759	3 865	3.388	848	12.0%
Samorz. teryt.	19.368	733	4.047	5.215	2.896	7.4%
Ubezp. społ.	11.826	—	—	11.826	—	—
Dochód społ.	161.328	—	—	—	—	—

W ciągu rozwoju dziejowego czasów nowożytnych i nowoczesnych można obserwować stałą ewolucję zmierzającą do kolektywizowania potrzeb indywidualnych. Proces ten doznał znacznego przyśpieszenia w XIX wieku i jeszcze silniejszego po wojnie światowej. Wiek XIX i XX zmienił tylko tempo procesu, natomiast nie można mówić, abyśmy mieli do czynienia z nowem zjawiskiem.

Tego rodzaju ciągła ewolucja ma swoje przyczyny. Bezpośrednią przyczyną jest decyzja zbiorowości. Ale na ukształtowanie się psychiczne zbiorowości wpływać muszą określone czynniki objektywne. Tu jest pole do dalszych dociekań.

W miarę postępu czasu następuje zagęszczanie ludności. To jest pierwsza przyczyna kolektywizowania potrzeb. Gęste skupienie ludności na pewnem terytorjum powoduje, iż np. sprawa bezpieczeństwa osobistego musi stać się potrzeba kolektywną, że stan sanitarny i zdrowotność z uwagi na możliwość epidemij przestaje być potrzebą indywidualną, a staje się kolektywną.

Ewolucja technicznych warunków produkcji (uprzemysławianie) było drugim czynnikiem zmierzającym do kolektywizacji potrzeb. Współczesna ewolucja techniczna, jak wiemy, zmienia strukturę zbiorowości, tworząc ogromną liczebnie klasę żyjących z pracy najemnej i likwidując drobny, indywidualny warsztat wytwórczy.

Tem samem ewolucja techniczna i gospodarcza dezindywidualizowała członków zbiorowości. Warunki egzystencji jednostki znalazły się właściwie poza obrębem jej możności oddziaływania, a stały się zależne od układu elementów, kształtujących rzeczywistość w obrębie zbiorowości.

Wreszcie trzeciem czynnikiem był stały postęp kultury.

Wszystkie te trzy czynniki, ich rozwój, skłaniały zbiorowość do przenoszenia potrzeb z kategorji indywidualnych do zbiorowych.

Przeklasyfikowanie potrzeby indywidualnej na zbiorową posiada swe doniosłe konsekwencje gospodarcze. Przedewszystkiem następuje upowszechnienie danej potrzeby. Gdy oświata jest potrzebą indywidualną, cały szereg dzieci do szkół nie uczęszcza i z nauki nie korzysta. Powody mogą być różne: brak środków, chęć korzystania z darmowej robocizny dzieci, jak to ma miejsce w rodzinach wiejskich i t. d. Z chwilą, gdy potrzeba ta została skolektywizowana, gdy wprowadzony zostaje przymus szkolny, liczba uczących się wzrasta, a zbiorowość jest obowiązana dostarczyć środków na ten cel.

Drugą cechą potrzeb kolektywnych jest ich nieelastyczność. Poprzez skolektywizowanie potrzeb zostaje zniszczony związek pomiędzy ceną za dobro zaspakajające potrzebę, a decyzją jednostki co do zaspokojenia potrzeby. Np. przy indywidualnem leczeniu cena lekarstw posiada doniosłe znaczenie dla leczącego się, który będzie drogich lekarstw unikał lub korzystał z nich bardzo oszczędnie. Przy skolektywizowaniu lecznictwa (Kasy Chorych) zjawisko to zanika. Ale nietylko moment ekonomiczny stwarza nieelastyczność potrzeb kolektywnych, dochodzi tu jeszcze bardzo ważny moment psychiczny: członkowie zbiorowości traktują potrzebę skolektywizowaną jako prawo nabyte, którego odebranie na skutek inicjatywy członków zbiorowości, którym dana potrzeba kolektywna jest niewygodna, grozi ogromnym oporem psychicznym tych członków zbiorowości, którzy traktują daną potrzebę skolektywizowaną jako prawo nabyte. W wyniku tego następuje zmiana układu natężenia psychicznego w zbiorowości, co może posiadać już doniosłe konsekwencje polityczne. W ten sposób doszliśmy do najpoważniejszego zagadnienia: *czy proces kolektywizacji potrzeb jest odwracalny*, innemi słowy, czy może następować proces dekolektywizacji potrzeb.

Wydaje mi się, że prowadzone w całym świecie ataki przeciwko nadmiernym wydatkom instytucyj prawno-publicznych, mają właśnie na celu dekolektywizację potrzeb. Bardzo znamienne było oświadczenie Mac Donalda, iż jednostka dziś zbyt dużo korzysta od społeczeństwa. Walka przemysłu z ubezpieczeniami społecznemi ma za przesłankę zbyt wysokie obciążenie kosztów produkcji z tytułu składek, ale konsekwencją jest dążenie do dekolektywizacji potrzeby zabezpieczenia na starość i lecznictwa. Na tle rzeczywistości powstaje i musi powstać pytanie: jak ma być?

W wyniku poprzednich rozważań musimy najprzód zdać sobie sprawę z zasadniczego dla tej kwestji zagadnienia: czy i kiedy jest możliwy proces dekolektywizacji potrzeb? Kolektywizacja potrzeb nie następowała pod wyłącznym wpływem doktryny czy demagogji, jak to się nieraz przyjmuje, lecz z powodu czynników konkretnych. Czynnikami temi były: zagęszczenie ludności, uprzemysłowienie i przebudowa struktury gospodarczej, oraz postęp kulturalny. Czynniki te, a przedewszystkiem zagęszczenie ludności i struktura gospodarcza, są nie do cofnięcia do dawnych form i wielkości. Tem samem opisywany proces kolektywizacji potrzeb staje się w znacznym stopniu nieodwracalny. Trudno przypuścić, by zrezygnowano z bezpieczeństwa publicznego, by np. nie oświetlano zupełnie w nocy miast i przedmieść miejskich

i powrócono do świecenia sobie latarkami na ulicach, tak, jak to było w XVIII wieku. Niemożliwem wydaje się również, aby zaniechano np. konserwacji dróg. Rozpatrującym potrzeby kolektywne wydaje się, być może, że przecież, tak na oko; to nie będą potrzeby kolektywne, wynikające z zagęszczenia ludności (bezpieczeństwo, drogi, walka z epidemjami), ale np. przy wydatkach oświatowych, a zwłaszcza ubezpieczeniach społecznych, ileż podniesie się głosów krytycznych. Pozornie wydaje się, że tego rodzaju potrzeby mogą być łatwo zdekolektywizowane. Pozornie. Zapominamy bowiem, że musimy brać pod uwagę poziom kulturalny kraju i że musimy się liczyć ze zmianami w układzie natężenia psychicznego w zbiorowości. Wezmę zjawisko najjaskrawsze: opiekę społeczną i ubezpieczenia społeczne. Czy możliwą jest dekolektywizacja tych potrzeb? Kiedyś, ktoś, skarżąc się na wysokie wydatki gmin na opiekę społeczną, powiedział, że jest to spowodowane uciążliwą ustawą, która nałożyła na gminy obowiązek opieki społecznej. Słusznie ktoś inny zauważył na to, iż gdyby nawet uchylono przepisy prawne, to wydatki pozostałyby, bo niezmienionym pozostałby sam fakt bezrobocia, a próba zaniechania wydatków spowodowała takie napięcie emocjonalne, że w rezultacie okazałoby się to niemożliwem.

Obecny ustrój gospodarczy świata jest krytykowany. Krytykowaną jest wadliwie zorganizowana wymiana i podział dochodu społecznego. Ale obecny ustrój ma jednak jeden wielki argument przemawiający za tem, że stara się on być sprawiedliwym. Tym argumentem właśnie jest fakt skolektywizowania szeregu potrzeb, powodujący przesuwanie części dochodu społecznego na rzecz tych, którzy w wyniku splotu warunków czysto gospodarczych, posiadają w podziale dochodu społecznego mniejszy udział, aniżeli inni.

Mam wrażenie, że gdyby obecny ustrój gospodarczy wywiesił 2 deklaracje: że nie jest w stanie zatrudnić bezrobotnych i nie jest w stanie łożyć na opiekę społeczną, z tą chwilą byłby zbankrutowany.

Ale liczby mają swoje prawa i nie one naginają się do psychiki ludzkiej, lecz psychika do nich. Każdemu pewno przychodzi na myśl, że musi istnieć jakiś maksymalny odsetek dochodu społecznego, dopuszczalny na potrzeby kolektywne, który stanowić musi kres ich wzrostu. Już dzisiaj powstaje szereg wątpliwości pod adresem potrzeb kolektywnych. Obliczenia PP. Landaua i Kaleckiego wykazały, iż przeciętny dochód roczny na głowę wśród drobnych rolników wynosi około 600 zł. rocznie, czyli niecałe 2 złote dziennie. Ci rolnicy stanowią większość płatników podatków samorządowych, które w niektórych gminach wiejskich idą w znacznym odsetku na utrzymanie w szpitalach psychicznie chorych za których płaci gmina 6 — 8 zł. dziennie. W szeregu krajów Europy Zachodniej powstało bardzo trudne zagadnienie budżetowe w związku z emeryturami i rentami. Dość przytoczyć, że emerytury i renty stanowiły w Niemczech w 1913 roku 3% dochodu społecznego, a w 1931 r. 17,6%.

Wiec: jakież konkluzje?

Sądzę, że można wysunąć następujące tezy:

1) Procesu dekolektywizacji większości potrzeb zbiorowych dokonać się nie da. Na przeszkodzie staną albo momenty czysto przedmiotowe albo momenty podmiotowe w postaci zmiany w układzie natężenia psychicznego w zbiorowości. Trudno, nie można traktować istnienia niektórych potrzeb zbiorowych jak niewygodnego gwoździa, który jednem uderzeniem młotka można „zabić" w deskę. Kolektywizacja potrzeb, to proces odbywający się w społeczeństwie i w psychikach jego uczestników, jest to proces żywy, podobnie jak żywym jest proces wegetacji roślinnej. A, jak słusznie powiada przysłowie: „nie można trawy zapomocą młotka wbić z powrotem w ziemię".

2) W tych dziedzinach, gdzie dekolektywizacja potrzeb nie wywoła zmian w układzie natężenia psychicznego w zbiorowości, można dążyć do likwidacji potrzeb zbiorowych.

3) Z uwagi na to, że potrzeby kolektywne obciążają dziś bardzo silnie dochód społeczny, należy dążyć do zmniejszenia tego obciążenia. Osiągnąć to można w ten sposób, iż będzie się gospodarować *tanio*. Tu żadnej recepty generalnej niema. Każdy rodzaj potrzeby ma swoje możliwości oszczędnościowe. Czy to będą zmiany techniczne w lampach łukowych, jakie zastosowała Warszawa, czy stosowanie w lecznictwie psychicznie chorych systemu taniej opieki otwartej, czy posługiwanie się przy budowie dróg szarwarkiem, czy uproszczenia w manipulacjach administracyjnych, wszystko to będzie miało zawsze jeden i ten sam skutek: potanienie w zaspakajaniu potrzeby kolektywnej.

Następny podwójny numer „Gospodarki Narodowej" ukaże się dnia 15 września r.b.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

SYNTEZA FIASKA LONDYŃSKIEGO

Komentarze prasy polskiej o konferencji londyńskiej w ostatecznych swych wnioskach odpowiadają zupełnie prawdzie, ale, nie wchodząc zupełnie w istotę zagadnienia., wybierają rozumowanie doskonale uproszczone. rozumowanie, któreby dobrze dało się streścić w trywjalnem powiedzeniu: wszystko razem bujda... W wyniku tego rodzaju „oceny sytuacji" istotne fiasko — i to fiasko zupełnie rozpaczliwe — konferencji londyńskiej odpowiada całkowicie naszemu odruchowemu scepcytycyzmowi.

O niezrozumieniu międzynarodowych zagadnień gospodarczych i finansowych w szerokiem społeczeństwie polskiem pisaliśmy na tem miejscu już niejednokrotnie. Obecnie — niezrozumienie to przybiera znacznie na sile. Nigdy nie mieliśmy silnych kontaktów z „business'em" zagranicznym — dziś kontakty są jeszcze mniejsze. Nigdy nie braliśmy zbyt wielkiego udziału w wymianie myśli gospodarczych na arenie międzynarodowej, dziś zredukowało się to niemal do zera. Nigdy, co najważniejsza, nie umieliśmy wykorzystać organów czy konferencyj międzynarodowych dla własnych celów, jak to czyni większość silnych państw, i dlatego panuje u nas wobec manifestacyj tych głęboka nieufność, połączona z niewiarą w jakiekolwiek ich powodzenie. Coś podobnego do opinji owego doktora medycyny, wychowanka uniwersytetu warszawskiego, który z pogardą twierdził, iż cały bilans handlowy, to tylko źródło zysku dla żydów... Owo izolowanie się (samorzutne i przymusowe) od wielkich zagadnień międzynarodowych, izolowanie. wynikające w znacznej, o ile przypuszczam, mierze z geograficznego położenia Polski sprawia, że patrzymy na wielkie rozgrywki międzynarodowe trochę, powiedziałbym, sub specie... własnego podwórka. A, że istotnie próby porozumienia międzynarodowego w dziedzinie gospodarczej kończa się jedne za drugiemi klęską, więc opinja o „bujdzie" zyskuje tylko na terenie...

Pogląd taki jest równie szkodliwy i niesłuszny jak jego odwrotność — czyli ślepa wiara w jakiś „cud" powszechnej zgody ludów, wiara, kultywowana jeszcze w szerokich sferach liberalnej inteligencji na zachodzie Europy. Prawda leżv, jak zwykle, pośrodku. Konferencje międzynarodowe nie udają sie nie dlatego, że wogóle udać się nie mogą, ale że zbyt wiele oczekuje się od nich w zbyt krótkim czasie — i to w najfatalniej wybranych warunkach. Przypominano mi kilka dni temu, że brukselskie porozumienie cukrowe, zawierane, bodajże, w 1902-im roku, wymagało aż sześć lat, aby dojść do skutku... Jedno porozumienie — w normalnie funkcjonującym mechanizmie gospodarczym świata... Jeśli porówna się to z obecna sytuacja, w jakiej zbierała sie „światowa" konferencja w Londynie, stanie się dla wielu zrozumiałem, że cała sprawa „nie jest aż taka prosta", jak by się zdawało...

Spróbujmy tedy bez szyderczego uśmiechu przeprowadzić syntezę katastrofy londyńskiej. Będzie to miało jeszcze jedną korzyść: poznanie elementów obecnej sytuacji. Konferencja zakończyła się fiaskiem nie dlatego, że „na świecie jest granda", ale dlatego, że wpadła — przypadkowo zupełnie — w okres niezwykle zaostrzonych przeciwieństw gospodarczych na kuli ziemskiej. Nie wystarcza tedy nad jej klęską przejść z pobłażliwością do porządku dziennego. Warto by się przyjrzeć, mniej więcej, o co właściwie w klęsce tej poszło...

Trzeba sobie, mianowicie, zdać sprawę, że od szeregu tygodni jesteśmy świadkami decydującego okresu w historji powojennego kryzysu. Zbiegły się w konflikcie jaki rozwija się przed naszemi oczyma, dwie pary antytez: rzeczowa i ideologiczna. Po jednej stronie stoi wywindowana zawieruchą wojenną na szczyty dobrobytu Ameryka, po drugiej — zubożała nagle i nadmiernie naskutek tejże zawieruchy Europa. Dopóki istniała wysoka konjunktury przewaga Stanów Zjednoczonych była tak wielka, iż ich ideja „wspaniałego odosobnienia" mogła liczyć na powodzenie. Europa mogła tylko przyjąć do wiadomości, iż Stany Zjednoczone mogą ją najwyżej traktować jako rynek zbytu dla ich surowców oraz jako objekt dla prowadzenia polityki wykupywania zagranicznych ośrodków produkcyjnych. Kryzys zrównał szanse obu kontynentów o tyle, iż jego przebieg w Stanach jest i cięższy i bardziej dotkliwy (po erze „prosperity") niż w Europie. Trzeba sobie zdać sprawę, iż przed Rooseveltem stanęła alternatywa polityczna: albo „coś" zrobić, żeby było odrazu „lepiej", albo — narazić się na wstrząsy wewnętrzne aż do rewolucji społecznej włącznie. Kiedy dowiaduje się człowiek o stosunkach, panujących za Oceanem, zwłaszcza w okręgach farmerskich, rozumie, że sytuacja była tam poważna. Tak poważna, iż zasadniczy przeciwnik inflacji, Roosevelt, nie miał właściwie wyboru... I oto do dawnej rywalizacji między kontynentami przybywa nowy element — odmienność ich polityk gospodarczych. Stąd jeszcze jedna konstatacja: świat podzielił się na dwa obozy — Inflacji i Deflacji. Między obozami temi idzie walka do upadłego...

Taka jest „w trzech słowach" sytuacja faktyczna. Powstaje pytanie — skąd w takim razie zwołanie konferencji światowej?... Wypłynęło ono jak wiadomo, z zeszłorocznej konferencji lozańskiej, problematu odszkodowań niemieckich i długów międzysojuszniczych. W roku zeszłym konferencja miała jeszcze jakiś sens, bo zasadniczem przeciwieństwem, dzielącem Europę i Stany była kwestja długów wojennych, a więc problemat, nadający się do rokowań. Dziś problemat ten właściwie już nie istnieje, ale zastąpiony został zagadnieniem o wiele bardziej zasadniczem: nastawieniem całej polityki gospodarczej, które jest zgoła odmienne na obu kontynentach. Można powtórzyć pytanie: skąd w takim razie pomysł zwołania dnia 12 czerwca kon-

ferencji? Odpowiedź brzmi: inicjatywa Mac Donalda powstała wówczas, kiedy o inflacji w Stanach nie było mowy, a umocniona została po jego wizycie na wiosnę r. b. w Waszyngtonie. Jak się właściwie przedstawia tutaj sprawa cała w szczegółach, nikt dokładnie nie wie. Niewiadomo, mianowicie, czy poparcie inicjatywy konferencyjnej Mac Donald'a przez Roosevelt'a (a poparcie takie niewątpliwie nastąpiło...) wywołane było chęcią wynalezienia pretekstu dla odroczenia sprawy długów — czy też miało się do czynienia z manewrem Roosevelt'a, który popierał zwołanie konferencji londyńskiej w nadziei, iż uda mu się zabezpieczyć na terenie multilateralnym interesy eksportu amerykańskiego — mimo jego charakteru walutowo-dumpingowego, jakiego eksport ten w miarę spadku dolara nabiera... Być może zresztą, że grały tu rolę względy jedne i drugie. W każdym razie jedno jest pewne: zwołanie konferencji nastąpiło w terminie czerwcowym z przyczyn politycznych : w okresie, w którym, objektywnie biorąc, konferencji za żadną cenę zwoływać nie należało.

Przedewszystkiem dlatego, że, jak mówiłem proces inflacyjny w Stanach nie został jeszcze zakończony. W chwili, kiedy to piszę, cały Londyn trzęsie się od wrażenia nowego krachu na giełdzie nowojorskiej, co wskazywałoby, iż błędne założenie polityki pieniężnej osławionego rooseveltowskiego „brains trust'u" wydaje owoce wcześniej niż spodziewali się tego jego najzagorzalsi przeciwnicy. Jeśli nawet krach ten jest tylko chwilowy, do jesieni sytuacja wyjaśni się dostatecznie. Nastąpi wówczas albo wyraźne nakręcenie konjunktury w Stanach (bez krachu inflacyjnego, a więc przy dociągnięciu płac do zwyżki cen), albo — ostateczny krach całej polityki. I w jednym i w drugim wypadku będzie już można mówić o stabilizacji (chwilowo oczywiście „de facto") waluty amerykańskiej... Tymczasem konferencja wypadła w chwili, kiedy Roosevelt (jak to słusznie zaznaczyła „Gospodarka Narodowa" w swym Nr. 13-ym) wogóle dolara nie mógł stabilizować.

To zadecydowało o niepowodzeniu konferencji w jej punkcie zasadniczym. Ale jest i druga przyczyna — natury już ściśle gospodarczej. Podstawowem wrażeniem, jakie się odnosi przy syntezie stosunków gospodarczych na kuli ziemskiej, jest ów dawno zaobserwowany nawrót do rolnictwa wysokouprzemysłowionych krajów Europy zachodniej, nawrót, który przybiera obecnie zupełnie fantastyczne formy. Przy obradach nad międzynarodowem porozumieniem pszenicznem ujawniło się to z całą jaskrawością. Niemiecka cena pszenicy waha się około trzykrotnie wyższego poziomu od ceny światowej. We Francji jako minimum opłacalności wymieniają poziom czterokrotnie wyższy od maximum aspiracyj kanadyjskich. Wielka Brytanja wyraźnie skądinąd dąży po drodze forsowania hodowli. Wszystko to jest zbyt sztuczne, aby nie musiało się załamać. Zwłaszcza, że powodowane jest jeszcze trzecim dominującym czynnikiem, który, jakkolwiek nieporuszony na plenarnych zebraniach konferencji, panował niepodzielnie w stokroć ważniejszych i bardziej szczerych rozmowach komitetów i podkomisyj.

Tym trzecim czynnikiem jest (wywołana przyczynami wewnętrzno - politycznemi) tendencja krajów o wysokiej przeciętnej poziomu życia ludności do utrzymania tej przeciętnej — wbrew wszelkiej logice sytuacji. We Francji, w Niemczech (polityka włościańska Hitlera), w Anglji — obecny standard of life jest „tabu", od którego niemasz odstępstwa. Wysokość poziomu życiowego przeciętnego anglika jest dla krajów w rodzaju Polski np., do dziś dnia czemś zupełnie zawrotnem. T. zw. klasy posiadające żyją na poziomie, równającym się u nas najbardziej wyrafinowanemu luksusowi. Ten poziom życiowy jest podtrzymywany sztucznie. W niektórych krajach (jak w Anglji) równoznaczny jest on z życiem „z kapitału", w innych—jak we Francji—oparty jest na kalkulacji wysokich cen rolniczych, które muszą się w obecnych warunkach załamać. I ten proces jeszcze nie nastąpił. Dopóki bezrobotnemu, śpiewającemu na ulicy w Londynie, rzuca się do kapelusza „sixpence" (75 groszy...), mowy niema, aby Wielka Brytanja mogła pójść na porozumienie międzynarodowe w szerokiem tego słowa znaczeniu..

Krótko mówiąc, konferencja londyńska trafiła w moment, kiedy po dwuch latach niezorganizowanej defenzywy przeciwko skutkom kryzysu nastąpiła w głównych krajach świata ofenzywa przeciwkryzysowa, prowadzona na każdym z odcinków zosobna. Ofensywa ta, wywołana zawsze — jak podkreślamy — przyczynami polityczno-społecznej natury, jeszcze dotychczas trwa. Nic dziwnego, że w tych warunkach porozumienie międzynarodowe, które z natury rzeczy musi być oparte na kompromisie, równoznacznym zawsze ze stratą na pewnych odcinkach, musi być odłożone na plan dalszy.

Ale czy wynika z tego, że porozumienie takie jest a priori niemożliwe? Wydaje mi się, że — nie. I muszę tutaj zanotować zdanie jeszcze bardziej optymistyczne, wygłoszone przez pewnego cudzoziemca, którego doświadczenie w kwestjach gospodarstwa międzynarodowego nie ma, zdaje się, równego sobie na całej kuli ziemskiej. Pan ten z właściwym sobie odcieniem sceptycyzmu (po 35 latach zajmowania się polityką handlową niema miejsca na złudzenia...) wygłosił tezę następującą:

„Wszystko to jest, proszę państwa, zawracanie głowy. Grunt, że widzę, iż kryzys się kończy. Kończy się, oczywiście, sam. Ale ten, który ostatni zastosował pewną politykę, po której nastąpiła poprawa, zbierze jej owoce. Choćby zrobił największe głupstwo (mowa była o inflacji amerykańskiej...), kryzys się skończy i tak. Inni byli o wiele mądrzejsi, ale mieli to nieszczęście, że rządzili w okresie pełnej depresji. O ile konferencja światowa zbierze się ponownie i będzie mogła załatwić to czy owo, przypisze i sobie również część powodzenia. Ale najważniejsze powtarzam, jest to, że kryzys się kończy..."

Wynikałoby z tego, iż kryzys się kończy, ale ludzie mu w kończeniu się przeszkadzają. Konferencja londyńska ma nad niemi tę wyższość, że nie

zaszkodziła. Pozwoliła rzucić okiem na całokształt zagadnień światowych, przekonać się o rozciągłości i wzajemnej współzależności zjawisk gospodarczych, nakreślić luźne programy sanacji. Czy ludzie pozwolą, aby kontynuowała swą pracę dalej? Nobody knews nothing about the future of the conference — mówi się w Londynie. I muszę to co do mnie w całej rozciągłości potwierdzić.

UWAGI

REWIZJONIZM.

Byłoby bardzo trudno określić, na czem polega i dokąd prowadzi prąd myślowy kształtujący się obecnie w polskiej myśli polityczno - gospodarczej. Równie trudnem byłoby ścisłe ustalenie jego źródeł. Co więcej, nie sposób przesądzić czy mamy do czynienia ze zjawiskiem efemerycznem, z prądem przejściowym, czy też z dążeniem trwalszem, mającem szanse okrzepnięcia i skrystalizowania się. Faktem jest tylko jedno: fala rewizjonizmu w poglądach polityczno - gospodarczych. Może dalszy bieg wypadków pozwoli nam powrócić do tematu w szerszym zakresie, pozwoli zorjentować się lepiej i wyraźniej — na razie ograniczamy się do kilku obserwacyj.

Przedewszystkiem cóż jest przedmiotem tej rewizji pojęć, sygnalizowanej już kilkakrotnie w Gospodarce Narodowej. Do tematów najczęściej przyciągających pióro należy „serja powojennych fetyszy". Atakowany i kwestjonowany jest naiwny ślepy, wschodnio-europejski kult dla maszyny i postępu technicznego. Drugi niepopularny dziś fetysz, to wielkie przedsiębiorstwo anonimowe, a jeszcze bardziej kartel. Przeciwstawia się im tak niedawno lekceważoną „pluskwę" (wyrażenie wprowadzone do polskiej publicystyki gospodarczej przez p. A. Wierzbickiego),—„małego człowieka", „żywego człowieka", drobny i średni zakład przemysłowy. Jedną ze szczegółowych form, jakie przybierają powyższe tendencje, jest hasło „kurs na przemysł przetwórczy", contra przemysł surowcowy. Mniej wyraźne są tendencje rewizjonistyczne w dziedzinie zagadnień pracy. Ale bodajże tylko dlatego, że skromny zasięg już zrealizowanego funduszu pracy odegrał rolę zimnego tuszu w stosunku do entuzjastów doktryny produktywnego zatrudnienia bezrobotnych. Gdyby nie to, gdyby nie próba rzeczywistości, mielibyśmy napewno dzisiaj wcale liczny obóz, upatrujący w tem jeśli nie panaceum, to conajmniej „kluczowy" środek walki z kryzysem. W zakresie zagadnienia „wierzyciel - dłużnik" bardziej rewolucyjne jest to, co się robi, niż to, co się mówi. Dlatego i w tej dziedzinie dyskusja jest stosunkowo słabsza — natomiast rewizja poglądowa na prawa wierzyciela w rzeczywistości doprowadziła bardzo daleko. A od praw wierzyciela do „świętego prawa własności prywatnej" pozostaje tylko jeden rok. Wygasła natomiast niemal całkowicie dyskusja nad zagadnieniem interwencjonizmu i etatyzmu. Wygasła mimo że właśnie ostatnie miesiące dostarczyć jej mogły wdzięczniejszych niż kiedykolwiek tematów, w postaci chociażby aktów rozkazodawstwa gospodarczego w dziedzinie tak zwanego oddłużenia — aktów nie posiadających precedensów w praktyce dotychczasowej — oraz w postaci interwencji państwowej w dziedzinie handlu zagranicznego posuniętej do granic, poza któremi pozostaje już tylko monopol handlu.

Przykłady powyższe nie wyczerpują listy. Pomijając inne przykłady z zakresu że się tak wyrazimy, rewizji mniej lub więcej udanej, t. zn. rewizji, która zjednała sobie pewną popularność, musimy przeciwstawić im próby rewizjonizmu, którym nie udało się wywołać szerszego oddźwięku. Na pierwszy plan należałoby wysunąć... liberalną ideologję szkoły krakowskiej i jej duchowego dziecka, łódzkiego towarzystwa polityki gospodarczej. Inteligentne zawsze, słuszne nieraz wystąpienia tych kół spotykają się naogół z oddźwiękiem chyba tylko w postaci artykułów polemicznych, o ile oczywiście nie nastąpi przypadkowa zbieżność pomiędzy hasłami głoszonemi przez liberałów i przez rewizjonistów innych kategoryj, z zupełnie odrębnych motywów.

Ten pobieżny obraz ruchu rewizjonistycznego nie daje nam możliwości zorjentowania się co do jego wagi i istoty. Niewiele więcej dałaby nam analiza genezy tego ruchu, której też szczegółowiej przeprowadzać nie będziemy. „Na oko" ruch wywodzi się zresztą z jaknajbardziej rozbieżnych, od siebie nawzajem niezależnych źródeł. Pewną rolę w dokonywującem sę przewartościowaniu wartości odgrywa niewątpliwie poprostu proces pogłębienia się myślenia ekonomicznego. Absurdalność niektórych fetyszy mogła być niewidoczna tylko dla prymitywów. Coś niecoś nauczyliśmy się przez piętnaście lat (z tem, że lata kryzysu, jak wojny, liczą się podwójnie). Większą jeszcze rolę odgrywa poprostu reakcja na kryzys, irracjonalny czysto odruch nieufności w stosunku do doktryn, które nie zdołały zapewnić pomyślności gospodarczej, przyczem niekoniecznie wina istotnie musi leżeć po stronie tych doktryn. Nie bez znaczenia, i to w wysokim stopniu nie bez znaczenia, jest kwestja wpływu sąsiedzkiego przykładu. Nawet tam, gdzie stosunek do hitleryzmu jako zjaw[illegible] nacechowany jest niechęcią, znajdujemy wzrastające z każdym dniem zainteresowanie dla gospodarczych projektów i poczynań Hitlera. Ale czy po za tem wszystkiem leży jeszcze doza zwątpienia w kapitalizm, i jak duża jest ta doza? Czy poszczególne przejawy dają się sprowadzić do jednego prażródła, czy też mamy do czynienia z kompleksem całkowicie niejednolitym?

Bądź co bądź poszczególne objawy rewizjonizmu dają się ugrupować w pewne kompleksy. Negatywny stosunek do kartelu i koncernu (czy re-

zerwa wobec maszyny i postępu technicznego, to wszystko stanowiska zaprzeczające wierze w to, iż superkapitalizm, iż najbardziej nowoczesne formy gospodarki kapitalistycznej są jednocześnie formami najracjonalniejszemi, najkorzystniejszemi gospodarczo i społecznie. W nieufności do superkapitalizmu łączy się największy bodajże odłam rewizjonistów, podtrzymywany tu nieświadomie przez szerszą opinję publiczną. A czyż stosunek szerszej opinji do liberalizmu gospodarczego nie świadczy o tem samem, czyż nie jest on drugą formą tej samej postawy. Bądź co bądź musimy uznać za znamienne, że obóz wyrażający najdalej idące votum zaufania ustrojowi kapitalistycznemu popularności zjednać sobie nie może. Rzecz inna, że w drugim kompleksie przejawów rewizjonizmu, kompleksie obejmującym śmielsze i dalej idące koncepcje, sięgające do podstawowych zagadnień ustroju kapitalistycznego nie znajdziemy ani jednolitości stanowiska, ani też chęci wyciągania ostatecznych wniosków. Przejawy gospodarki kapitalistycznej atakowane są przytem nie „jako takie“, nie w płaszczyźnie doktrynalnej, lecz w płaszczyźnie czysto praktycznej. Weźmy kwestję praw wierzyciela. Mimo, iż hasło „wierzyciel musi stracić“ zyskało sobie bardzo szeroką popularność, głosy, kwestjonujące założenie, t. zn. atakujące rolę i prawa kapitału finansowego we współczesnym ustroju kapitalistycznym, należą do unikatów.

Wskazuje to chyba dość wyraźnie na fakt, iż rewizjonizm omija problematy zasadnicze, atakując tylko to, co doraźnie jest dotkliwe dla tej czy innej grupy społecznie doniosłej. Do najciekawszych wniosków doprowadza nas zbadanie stosunku do interwencjonizmu. Niewątpliwie stosunek ten złagodniał. Gdyby jednakowoż zapytać o wyznanie wiary tych, którzy niedawno atakowali interwencjonizm, otrzymalibyśmy taką samą jak dawniej odpowiedź. Na czem więc polega zmiana? Na zmianie sytuacji. Jeżeli bowiem interwencjonizm z przed trzech czy czterech lat miał charakter działania, opartego o pewne koncepcje ogólne, to dzisiaj nabrał on charakteru działania w obronie pewnych grup społecznych. Przytem jeżeli nawet nie wszystkie posunięcia interwencyjne Rządu należą do tej samej kategorji, to w każdym razie szczególną uwagę skupiły wokół siebie te posunięcia, które mają charakter obrony słabszych przed silniejszymi, a specjalnie przeciwstawienia się dyktaturze feudałów gospodarczych, nieuniknionej w każdym systemie gospodarki związanej, czy na pół związanej. Nie zmienił się zatem stosunek do zasady, a poprostu o zasadzie mówi się i myśli mniej z chwilą, kiedy *praktyka* stała się dla poważnego odłamu społeczeństwa szczególnie dogodna.

Rozważania powyższe dają niewątpliwie niewystarczający materjał do wyciągania wniosków, tem niemniej pozwolimy sobie zaryzykować wniosek, w przekonaniu, że dalszy rozwój wypadków potwierdzi hipotezę. Rewizjonizm w polskiej polityce gospodarczej nie ma naszem zdaniem charakteru dojrzałej, skończonej, jednolitej i głębokiej rewizji podstawowych poglądów. Rzecz prosta, nie mamy do czynienia nietylko z jakimś zasadniczym zwrotem w doktrynie ekonomicznej, ale nawet z jednolitą pod względem genezy i celu zmianą kursu polityki. Nowej syntezy nie widać nawet w zarysie. Poprostu z najróżniejszych źródeł i przyczyn rodzi się ferment myślowy. Ferment ten krzepnie i rozpowszechnia się o tyle, o ile znajduje podatny grunt w procesach, których analiza jest rzeczą socjologa a nie ekonomisty. Na tej płaszczyźnie rozegrają się dalsze losy rewizjonizmu. Wolno w każdym razie mniemać, że jesteśmy w tej sprawie dopiero u progu, i że w każdym razie przestała ona być wyłączną własnością wąskiego koła intelektualistów.

Cz. Bobrowski.

POCHWAŁA SAMOCHWALSTWA.

Jeszcze raz pochwała samochwalstwa. Jeszcze raz, i nie po raz ostatni. Należy bowiem o tej sprawie pisać i mówić i jeszcze raz pisać i mówić. Dlaczego? Dlatego, że nie należy ona do tych, które rozwiązać można drogą *przekonania* społeczeństwa, a jedynie drogą *przyzwyczajenia*. Ba, gdyby tylko drogą przyzwyczajenia. W rzeczywistości idzie o rzecz jeszcze trudniejszą, o zmianę głęboko zakorzenionych przyzwyczajeń i zastąpienie ich biegunowo przeciwnemi. Idzie o zaszczepienie zwyczaju chwalenia się tem, co przywykliśmy skwapliwie krytykować. Chodzi o zmianę nastawienia z jakiem podchodzić będziemy zarówno pro foro interno jak i w wystąpieniach przed forum obcem do oceny rezultatów zbiorowego wysiłku polskiej społeczności.

Istnieją narody w tym stopniu przeświadczone o swej wyższości i o wartości swych poczynań, że przeświadczenie to znajduje samorzutny wyraz w każdem zbiorowem i indywidualnem wystąpieniu. Wiara w siebie zawarta w tych wystąpieniach staje się z kolei bodźcem, motorem dalszego wysiłku, stwarza klimat psychiczny, sprzyjający rozwojowi aktywności na każdem, a więc i na gospodarczem polu. I jeszcze jedno. Sile sugestji zawartej w tego rodzaju samochwalstwie trudno się oprzeć, nietylko członkom danej zbiorowości, ale i obserwatorom i krytykom obcym. U tych narodów kwestja propagandy zewnętrznej i wewnętrznej rozwiązuje się sama przez się.

Inna sprawa w Polsce. Jesteśmy narodem o silnie rozwiniętym samokrytycyźmie, który na skutek długoletniej niewoli politycznej zamienił się częściowo w poczucie niższości wobec innych narodów i państw. Nasz samokrytycyzm znajduje ujście w sceptycznej ocenie każdego niemal przejawu polskiego życia. Z drugiej jednak strony w głębi psychiki polskiej nurtuje silne uczucie narodowej dumy. W rezultacie nierzadkie są tragikomiczne sytuacje, kiedy Polak, skrytykowawszy wszystkie przejawy naszego życia państwowego i społecznego, traci rzeczowe podstawy dla uczucia dumy narodowej, nie tracąc jednak samego uczucia. A czyż może być mowa o wartościowej propagandzie zewnętrznej i wewnętrznej, jeżeli w naszej psychice góruje niewiara w wartościowość wysiłku społeczeństwa polskiego?

* * *

Proszę wziąć każdy podręcznik, traktujący o Polsce dla użytku szkolnego lub propagandowego.

Niemal zawsze znajdziemy w nim twierdzenie: „Polska jest krajem bogatym, o żyznej ziemi, obfitującym w kopaliny wszelkiego rodzaju". W dalszym jednak ciągu znajdziemy napewno dane o niskim dochodzie narodowym i nędzy wsi. Zestawienie tych faktów może wywołać u logicznie myślącego człowieka jeden tylko wniosek: Polska jest krajem skończonych niedołęgów, nie umiejących wykorzystać naturalnych bogactw kraju. Osobliwy sposób budzenia entuzjazmu w kraju i zachęcania kapitału zagranicznego do lokat w Polsce. No, a po za tem... jest to nieprawda.

Z kopalin dużo mamy tylko węgla kamiennego i cynku. I to dobrego węgla koksującego mamy za mało. Podstawowego surowca, — rudy żelaznej, nie mamy, a właściwie mamy tylko rudy niskoprocentowe. Złoża naftowe skąpe i na wyczerpaniu. Wydobycie ropy wymaga głębokich, skomplikowanych i trudnych wierceń. Miedzi, cyny, niklu, chromu i szeregu innych metali niezbędnych w produkcji przemysłu metalowego przetwórczego, elektrotechnicznego i chemicznego nie mamy wcale. Ołowiu, soli potasowych, glinu — średnie ilości. Zwykłego brukowca niewiele i to w niekorzystnych warunkach transportowych! Czyż można te warunki nazwać świetnemi? A jednak przemysł nasz rośnie.

Oderwijmy się na chwilę od kryzysu, i weźmy kilka cyfr, ilustrujących postępy w uprzemysłowieniu Polski.

Przemysł elektrotechniczny. Wartość produkcji w 1924 r. — 24 milj. zł., w 1929 r. — 98 milj. zł. *Wzrost o 300%.* Same tylko żarówki w roku 1924 — 2,5 milj. zł., w 1929 — 12,3 milj. zł. *Wzrost — 900%.*

Parowozy. Przed wojną nic — dziś trzy fabryki o zdolności wytwórczej 420 parowozów i wzrastającym eksporcie.

Obrabiarki. Przed wojną tylko jedna fabryka, dziś 35 mniejszych i większych — w tem kilka poważnych, eksportujących.

Przemysł chemiczny. Przed wojną 9 tysięcy robotników, dziś 50 tysięcy. Wartość produkcji 700 — 800 milj. zł.

Przemysł bekonowy. Produkcja w roku 1930 — 24,5 milj. kg., w 1932 r. — 55,4 milj. kg.

Produkcja energji elektrycznej. W 1925 — 1300 milj. kwh, w cztery lata później 2355 milj. kwh. A więc *wzrost o 80%.*

Podobne cyfry zacytowaćby można z innych dziedzin. Mamy więc wyniki bardzo poważne i to często wbrew trudnym warunkom naturalnym. Paruset procentowe cyfry przyrostu nie bledną ani trochę w porównaniu ze wskaźnikami rozwoju przemysłowego sowieckiej piatiletki. Tylko, że cyfry piatiletki zostały wykorzystane dla stworzenia nastroju entuzjazmu, a cytowane przez nas (o ile wogóle są znane), wywołują conajwyżej bezmyślnie złośliwe pytanie, „dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze?".

Twierdzenie, że Polska jest krajem żyznym jest również nieprawdą. Ziemi faktycznie urodzajnej posiadamy bardzo niewiele i ogólnie biorąc, Polska należy do najmniej żyznych rolniczych krajów na świecie. Ponadto jesteśmy upośledzeni pod względem klimatu, gdyż okres wegetacyjny trwa u nas od 3 — 6 tygodni krócej niż w zachodniej Europie. Mimo tak niekorzystnych warunków stoimy pod względem wysokości zbiorów pszenicy niewiele niżej od Francji i Węgier, narówni z Włochami i wyżej Rumunji oraz Rosji, aczkolwiek kraje te posiadają lepszy klimat i bardziej urodzajną ziemię. Oczywiście, że przewyższamy również kraje zamorskie o ekstensywnej kulturze rolnej, jak Stany Zjednoczone, Kanada, Argentyna i inne, podobnie przedstawia się sytuacja w zakresie zbiorów żyta. Pod względem wysokości zbiorów kartofli z jednego ha ustępujemy tylko Anglji, Niemcom i Czechosłowacji, a w innych kulturach rolnych nigdzie nie zajmujemy ostatniego miejsca. Możemy zatem z całą ścisłością powiedzieć, że pod względem naturalnych warunków dla rolnictwa należymy do najgorzej wyposażonych przez naturę krajów, a pod względem wysokości urodzajów zajmujemy miejsce średnie lub wyżej średniego.

Szybkości tempa rozwoju nowych gałęzi przemysłu w Polsce i stosunkowo wysokiej wydajności gleby, nie wyjaśniają mierne warunki naturalne naszego kraju. Osiągnięte wyniki wytłumaczyć można tylko pracą i twórczym wysiłkiem narodu. Oto pierwszy z zasadniczych propagandowych argumentów działających równie dobrze na wewnątrz, jak na zewnątrz.

Drugi podstawowy element samochwalstwa to wysoki przyrost ludności. Nasz przyrost należy do najwyższych w Europie. Stwarza to nam oczywiście sporo trudności wewnętrznych, gospodarczych i socjalnych, co powoduje propagandę za regulacją urodzin. Doświadczenie historyczne uczy jednak że wysoki przyrost naturalny idzie zawsze w parze z ekspansją i prężnością polityczną narodów. Tak było z Francją epoki Wielkiej Rewolucji i Napoleona, Anglją XIX wieku, bismarkowskiemi Niemcami i dawną Rosją. Spadek przyrostu naturalnego we Francji sprawił, że państwo to jest politycznie biorąc w defenzywie, a nawet cofa się ze swoich pozycyj. To samo zjawisko w Anglji spowodowało zanik emigracji i powolne usamodzielnianie się Dominjów oraz Kolonij. Spadek przyrostu w Rosji idzie w parze z wycofywaniem się z dawniej zajętych pozycyj na Dalekim Wschodzie, w Niemczech zaś jest zjawiskiem stosunkowo świeżej daty, ażeby mógł znaleźć bardziej jaskrawy wyraz. Chociaż... skąd się biorą alarmy z powodu zagrożenia Prus Wschodnich rzekomą inwazją polską. Przecież w zbrojną agresję Polski w stosunku do Niemiec nie może uwierzyć żaden zdrowo myślący człowiek. Obawy niemieckie mogą mieć źródło tylko w tym fakcie, że otaczające Prusy Wschodnie ziemie polskie mają dwukrotnie większą wielkość zaludnienia i że gęstość ta nadal wzrasta, podczas gdy Prusy raczej wyludniają się. Przy dalszej ewolucji w tym kierunku różne koncepcje kolonizacji Wschodniej Europy przez Niemców rychło stracą wszelki sens.

* *

Nie sądźmy, że kwestja samochwalstwa, kwestja propagandy zewnętrznej i wewnętrznej daje się rozwiązać przez działalność najlepiej nawet

wyposażonych i zorganizowanych urzędów. Świadoma działalność propagandowa jest niczem więcej, jak wyrazem wewnętrznej opinji o sobie samym. Żaden kraj nie potrafi prowadzić skutecznie propagandy, jeżeli w społeczeństwie dominuje przesadny samokrytycyzm. Propagandę robi cały naród nawet wtedy, gdy o tem nie myśli. Dlatego też zacznijmy się chwalić. Wawel i Łazienki są cennemi zabytkami. Ale ich widok nie obudzi w cudzoziemcu przekonania o twórczych walorach Polski współczesnej, w Polaku — wiary we własne siły. Chwalmy się tem, że na Mazowieckich piaskach zbieramy plony większe, niż gdzieindziej na czarnoziemie i że będziemy mieli jeszcze większe. Chwalmy się, że tworzymy nowe gałęzie przemysłu bez dopływu obcych kapitałów i angażowania obcych sił technicznych. Chwalmy się, że pomimo niemożności emigracji przyrost naturalny ludności, mimo wszystko, znajduje w kraju możność bytu Chwalmy się przemysłem wojennym, armją, kolejnictwem, lotnictwem, chwalmy się nawet niską stopą życiową, która dziś daje nam odporność na kryzys, a kiedyś dać może odporność nawet na bardzo długą wojnę.

Z. Szempliński.

POPRAWKI DO SCHEMATU.

Polski przemysł węglowy ponownie przypomniał się opinji publicznej w sposób jaskrawy i donośny. W zimie b. r. wypadki na kopalniach „Klimontów" i „Mortimer" unaoczniły tragedję górników i podkreśliły, że w przemyśle węglowym, subwencjonowanym przez państwo i społeczeństwo nie wszystko dzieje się dobrze. Ostatnio, w lipcu, zaszła konieczność surowego ukarania dwóch dyrektorów kopalń ks. Donnersmarka za naruszenie przepisów demobilizacyjnychi za samowolne — z punktu tych przepisów — zamknięcie kopalń.

Przyczyna ogólna obydwuch zdarzeń była jednakowa: kryzys ekonomiczny. Tak przynajmniej mówi się i pisze, jakgdyby wszyscy wiedzieli jasno, o co chodzi. W Klimontowie chodzi jakoby o kopalnie przestarzałe, nierentowne — natomiast w wypadku śląskim „zwolnienie z pracy dwóch tysięcy ludzi bez nadziei powrotu kiedykolwiek do zniszczonych warsztatów pracy było tembardziej jaskrawe, że zniszczeniu miały podlegać najlepsze gospodarczo objekty" („Gazeta Polska" z 19. VII. 1933 r.). W ten sposób mamy już do czynienia ze zjawiskiem *masowem*, a przez to wysoce niebezpiecznem. Słowa: kryzys ekonomiczny — nic nam wobec tego nie mówią. Przyczyna musi leżeć gdzieindziej.

Na pytanie, czy istotnie kopalnie — tak „Klimontów" i „Mortimer" (przestarzałe), jak i śląskie, należące do ks. Donnersmarka (nowoczesne) — okazały się nierentowne, odpowiedzi niema. To znaczy niema odpowiedzi czynników *objektywnych i autorytatywnych*. Społeczeństwo złożone nietylko ze spożywców węgla domowego, lecz również z producentów towarów, których wyrób opiera się mniej lub więcej na węglu, pragnie wiedzieć, czy zrobiono wszystko, aby nie dopuścić do zatopienia tych i tamtych szybów. Odbiorcy węgla zadają sobie przytem — bynajmniej nie retoryczne — pytanie: czy koszty prowadzenia kopalń zostały w należyty sposób obniżone? Czy zadowolono się jedynie obniżką płac górniczych, nie ruszając natomiast wynagrodzenia administracji? Czy — co najważniejsza — zmniejszono koszty kapitału (kredytu) pod ich wszelkiemi postaciami? Czy nie należało na czas kryzysu zawiesić amortyzacji, zwłaszcza w przestarzałych przedsiębiorstwach? I czy obniżka kosztów produkcji przez zamknięcie nierentownych kopalń obniży ceny węgla?...

Gdyby nie to, że polski przemysł węglowy jest w znacznym stopniu na utrzymaniu państwa i społeczeństwa, możnaby zaniechać podobnych pytań, jako zbyt natarczywych i bodajże nieprzyzwoitych. Ale skoro mamy tutaj do czynienia z przemysłem, który korzysta z *przymusowych świadczeń* ze strony gospodarstwa narodowego [1]), to z racji owych świadczeń publicznych powinien on, jak sądzimy, podlegać kontroli opinji publicznej. Można pominąć milczeniem kwestję istnienia czy nieistnienia sprzeczności pomiędzy rentownością prywatną a społeczną, można przejść do porządku nad zapytaniem: czy kopalnie poza kartelem byłyby zdolniejsze do życia, można, nakoniec, nie zajmować się problemem, czy istotnie w przemyśle węglowym panuje nadprodukcja — nie można natomiast odejść milcząco od zagadnienia kosztów produkcji w tymże przemyśle i metod jakiemi kapitalista prywatny usiłuje zadośćuczynić automatyzmowi procesów gospodarczych.

Prof. H. Tennenbaum w tomie I swej „Struktury gospodarstwa polskiego", wspominając o wypadku, że „Ministerstwo Przem. i Handlu zagroziło jednemu z przedsiębiorstw węglowych redukcją jego kwoty sprzedażnej na rynku wewnętrznym, jeżeli zamknie jedną z kopalń, albo jeśli w razie jej zamknięcia, nie przeniesie robotników w niej zatrudnionych do innej kopalni i przynajmniej ich częściowo nie zatrudni", zastanawia się, czy Ministerstwo miało prawo tak postąpić, t. zn. czy jest uznane w sposób ustawowy, że częściowe nawet zatrudnienie robotników jest interesem publicznym (str. 217). Wydaje się, że problem socjalny dojrzał już w Polsce do tego, by motyw zatrudnienia znalazł swój wyraz w ustawie, jak tego chce prof. T. Jeżeli dzisiaj ustawy wyraźnie o tem nie mówią, to jednak motyw ten jest *kamieniem węgielnym* dekretu Prezydenta o przymusowem uregulowaniu stosunków w przemyśle węgla kamiennego. Jasne jest również, że prawo demobilizacyjne w wypadku śląskim, a opinja publiczna w wypadku klimontowskim występowały nie w obronie feodalizmu robotników górniczych, lecz w obronie ich prawa do życia, którego nie zabezpieczą im inne gałęzie pracy, skoro go nie zabezpieczył na innych terenach — własny przemysł węglowy.

Możnaby ostatecznie uwierzyć na słowo, że zamknięte kopalnie przynoszą chwilowo straty, gdyby nie to, iż ostatni wypadek miał miejsce na te-

---

[1]) Ulgowe taryfy eksportowe, zwroty ceł przy eksporcie towarów, wytworzonych przy pomocy drogiego węgla krajowego, wysokie ceny wewnętrzne.

renie Śląska, gdzie nas przyzwyczajono do odchyleń od automatyzmu procesów gospodarczych. Tam, gdzie się pisze: żywiołowa gra sił ekonomicznych, niejednokrotnie czyta się: zła wola dysponentów kapitału. Płynie ona z pobudek poza - gospodarczych i cele poza - gospodarcze ma na widoku. Odsyłamy czytelnika do pracy ministra E. Kwiatkowskiego „Bałtycka orjentacja gospodarcza i polityczna współczesnej Polski" (w księdze zbiorowej lwowskiej p. t. „Życie gospodarcze a ekonomika społeczna"), skąd nietrudno zrozumieć, jak to związany z Polską niemiecki Gdańsk prowadził *zawsze* nieprzebierającą w środkach walkę o celach i motywach *politycznych*. Te „imponderabilja" na terenie węglowym śląskim (na innych terytorjach mają one odmienny charakter, lecz również są poważnym czynnikiem) sprawiają, że do procesów pozornie czysto ekonomicznych wprowadzać musimy daleko idące *poprawki*. Moment socjalny i moment polityczny każą nam z wielką ostrożnością słuchać zapewnień, że „kryzys musi się wyszumieć". A nawet dla ekonomisty „pur sang" nie jest obojętne, w jakim stopniu i jakiemi metodami ma się ów cel uzdrawiający osiągnąć.

k b.

KREDYTY EKSPORTOWE.

Fragmentem polityki eksportowej szczególnie intensywnie dziś opracowywanym jest kwestja kredytów dla handlu i produkcji eksportowej. W latach ubiegłych zdołano ustalić bezspornie, że jest to zagadnienie dla eksportu zasadnicze, nie zdołano jednak wyjść ani kroku poza to stwierdzenie, nader mało pocieszające, skoro towarzyszył mu fakt, że owe kredyty znajdują się w stanie zgoła fatalnym. Obecnie — dosyć niespodzianie — okazuje się, że moment jest raczej dogodny dla realnych w tej materji osiągnięć. Przemawia za tem odczuwany przez banki brak dobrych tranzakcji oraz ugruntowana wśród eksporterów świadomość, że trzeba się im dostosować do wymagań i potrzeb banków; wreszcie rządowy aparat pomocy dla eksportu wykazuje skłonność do pewnych świadczeń na rzecz kredytów wywozowych.

Wedle obecnie opracowywanych projektów rząd ma udzielać gwarancyj dla różnych form kredytu eksportowego, oraz zamierza stworzyć specyficzny typ organizacyj branżowych, zwłaszcza dla działów wywozu wykonywanego przez firmy indywidualnie słabe, które to organizacje miałyby kumulować wobec banków zdolność kredytobiorczą swych członków. Chodzi tu w gruncie rzeczy o nowy sposób zużytkowania sum przeznaczonych na popieranie wywozu. Wydaje się on zdrowszym od prymitywnego obniżania przy pomocy premij ceny wywozowej, ma on pozatem tę dobrą stronę, że sumy wyłożone przez rząd uruchamiać będą wielokrotnie większe zasoby finansowe ze źródeł prywatnych.

Najciekawszym wszelako fragmentem projektów odnośnych jest zamiar stworzenia przywileju dla kredytu udzielonego na działalność eksportową, przywileju dającego pierwszeństwo tym kredytom wobec innych. Miałoby to być urządzenie działające stale, niezależne od obecnych warunków konjunkturalnych. Przywilej polegałby na ustawowem zapewnieniu, że w razie likwidacji przedsiębiorstwa, jego długi zaciągnięte na działalność eksportową miałyby być zaspakajane w pierwszym rzędzie i w całości, podobnie jak się dziś dzieje w odniesieniu do zobowiązań z tytułu świadczeń publicznych i należności za pracę; dopiero reszta pozostająca po zaspokojeniu tych trzech kategoryj wierzycieli uprzywilejowanych pozostawałaby do proporcjonalnego podziału między innych wierzycieli.

Tworzenie tego rodzaju hierarchji w stosunkach kredytowych zasadniczo nie jest dobre. Przywilej jest ostatecznie zrozumiały wobec pretensyj robotników, można się z nim pogodzić przy długach z tytułu świadczeń publicznych, wiadomem jest bowiem, że przy ściąganiu tych długów uwzględnia się momenty ogólno - gospodarcze. Preferencja udzielona pewnemu wierzycielowi prywatnemu w silnym stopniu utrudnia sytuację pozostałych wierzycieli prywatnych, stan odpowiedzialności finansowej dłużnika czyni niejasnym; w wypadku gdy jest udzielona w porównaniu do należytości dawniejszych, godzić się zdaje w prawa nabyte. Należałoby się więc wypowiedzieć za utrzymaniem równych praw dla wierzycieli prywatnych.

Gdy jednak wchodzi w grę kredyt udzielony na produkcję czy skup eksportowy, oczywiście stwierdzony w tym swoim charakterze w sposób zupełnie pewny — rozumowanie uledz musi zmianie. Chodzi tu bowiem o wykonanie procesu gospodarczego wykraczającego poza te możliwości, jakie danemu przedsiębiorstwu stwarza rynek wewnętrzny, o dodatkową niejako pracę, której przedsiębiorstwo nie mogłoby wykonać normalnemi swemi środkami i kapitałami wypożyczonemi mu w formie zwykłego (t. j. nie eksportowego) kredytu. Wierzyciel uprzywilejowany mocą tego swego przywileju uzyskuje zapewnienie, że nowe możliwości pracy dzięki niemu powstałe będą dla niego przedewszystkiem, jako teren do roszczeń, zarezerwowane, natomiast nie pogarsza on warunków, w jakich znajdują się inni wierzyciele. Przeciwnie, wyższy stan zatrudnienia przedsiębiorstwa i zyski z eksportu zwiększają odpowiedzialność dłużnika. Przeto uprzywilejowanie kredytów eksportowych nie może być uważane za dyskryminowanie innych długów.

Sama zaś zasada przywileju dla działalności eksportowej, przeprowadzona już zdawna na innych terenach, wydaje się słuszną również w zakresie stosunków kredytowych. Nie posiadamy nieomal żadnego towaru, który miałby na rynku międzynarodowym charakter monopolowy i nie musiałby walczyć z czyjąś konkurencją. Owa walka konkurencyjna konfrontuje towar polski z innym, dostarczanym przez jakiegoś eksportera znajdującego się w szczególnie dogodnych warunkach, korzystającego z najrozmaitszych beneficjów, jakie mu daje stan gospodarczy jego kraju, m. in. z lepszych z reguły warunków kredytowania. W niektórych wypadkach możemy przeciwstawić temu nasze niższe koszta produkcji etc i może się to okazać wystarczającem. Coraz częściej jednak ko-

niecznem się okazuje dla nas oferowanie tych samych warunków kredytowych (pomijamy już wpływ kosztów kredytu na cenę), jak oferowane przez konkurenta, w którego kraju kredyt jest i znacznie łatwiejszy i znacznie tańszy niż u nas. Aby utrzymać się w tym stanie rzeczy istotnie drogą bodaj jedyną okaże się wyodrębnienie kredytów eksportowych z całokształtu naszego rynku kredytowego, stworzenie dla nich jakiejś sytuacji wyjątkowej, szczególnie dobrej, słowem uprzywilejowanie ich. Możnaby to — napozór — osiągnąć przez zorganizowanie banku eksportowego wyposażonego w zdolność dawania kredytów na warunkach szczególnie dogodnych, koncepcja ta jednak, niejednokrotnie lansowana, jest praktycznie niewykonalna. Możnaby drogą odpowiednich dopłat z funduszu publicznego obniżyć cenę kredytu eksportowego, co jest niekiedy stosowane, co jednak nie rozwiązuje sprawy bezpieczeństwa tych kredytów. Bezpieczeństwo możnaby stworzyć przez udzielanie bankom gwarancji publicznych dla kredytów udzielanych przez nie eksportowi; leży to, jak wspomnieliśmy powyżej, w planach opracowanych obecnie, zachodzi tu jednak potrzeba niezawsze pożądanej indywidualizacji, pozatem sumy w grę wchodzące są tak znaczne, że trudno byłoby je gwarantować w całości, metodę tę więc można stosować tylko w niektórych wypadkach. Pozostaje więc ów przywilej ustawowy, o którym mówimy.

w. a. w.

TECHNIKA A ZASADY.

W jednym z numerów Gospodarki poruszona została sprawa podatku dochodowego przyczem autor stanął na stanowisku, iż technika wymiaru i poboru podatku dochodowego jest bodajże większem złem i większe wywołuje niezadowolenie, aniżeli struktura i stopa tego podatku. Stanowisko to nietylko jest słuszne, ale może i powinno być rozszerzone. W kwestjach podatkowych spotykamy się niepomiernie częściej z zagadnieniem wykonania niż z zagadnieniem samej zasady. Prócz tego słusznie, czy niesłusznie, z uwagi na spadek wpływów skarbowych kwestja rewizji zasad, a więc kwestja głębokiej reformy podatkowej została odroczona sine die. Sprawa techniki podatkowej, sprawa wykonania obowiązujących ustaw podatkowych nie jest rzeczą do zlekceważenia. Nie jest ona zresztą bynajmniej lekceważona, a tylko ze względu na czysto praktyczny, incydentalny charakter problemu, poruszona w takiż incydentalny, doraźny i ułamkowy sposób. Tymczasem, dopóki sprawy techniki podatkowej poruszane będą tylko na tej węższej czy niższej płaszczyźnie, dopóty nie pozbędą się one charakteru skarg zainteresowanych dotkniętych takiem czy innem posunięciem władz skarbowych. Po za drzewami nie zostanie zauważony las. Nie zostanie dostrzeżony fakt, że kwestja sprawnej i logicznej techniki podatkowej to nietylko sprawa irytacji, niewygody lub krzywdy danej grupy podatników, ba, to nawet nietylko kwestja dajmy na to umożliwienia podatnikom racjonalnej kalkulacji, itd., itd. — to bezpośredni interes skarbu Państwa. I to interes wykraczający po za dzień dzisiejszy, a sięgający daleko w przyszłość. Wydaje mi się niewątpliwem, że rozwój tak zwanej moralności podatkowej zależy w równym jeżeli nie wyższym stopniu od pozornie błahych zagadnień technicznych, co od zasadniczego zagadnienia naszego systemu podatkowego.

Materjał faktyczny w zakresie usterek naszej techniki podatkowej jest naogół znany i dlatego ograniczymy się do zacytowania kilku specjalnie charakterystycznych przykładów. Jeden z nich cytowała już kiedyś Gospodarka Narodowa. Zdarza się mianowicie niekiedy, że podatnik zalegający z uiszczeniem podatku jest równocześnie wierzycielem jakiejś instytucji państwowej, dajmy na to z tytułu dokonanych dostaw, i to nieraz na sumę przekraczającą sumę zaległych podatków. Jeżeli podatnikowi z jakichkolwiek przyczyn nieudaje się wyegzekwować jego wierzytelności, nie wpływa to w najmniejszym stopniu na obowiązek punktualnego uregulowania przezeń podatków.

Inny przykład cytował ostatnio I. K. C. Kaucje, złożone przez odbiorców jednego z przedsiębiorstw państwowych, są jakoby winkulowane jako zabezpieczenie dla zaległości podatkowych. Jak się zdaje, licytacje z tytułu groszowych zaległości zostały zahamowane. Natomiast nadal się zdarza (w stosunkach wiejskich), że opłaty od upomnień wysyłanych masowo do podatników zalegających z groszowemi sumami, osiągają cyfrę niewiele tylko niższą od samych zaległości. Nie będę dalej mnożył przykładów, i zatrzymamy się tylko na jednym, mniej może znanym i pospolitym, ale natomiast rekordowym z punktu widzenia braku logiki. Mianowicie jest rzeczą znaną i zrozumiałą, że wniesienie odwołania ne wstrzymuje obowiązku uiszczenia wymierzonego podatku. Zdarzają się jednak wypadki o charakterze specjalnym. Czasami nadmierny wymiar podatku opiera isę na czysto mechanicznym błędzie, np. na arytmetycznej pomyłce, czy czemś w tym rodzaju. Organ, do którego wniesiono odwołanie, przyznaje podatnikowi rację, której nie przyznać nie może, gdyż sprawa jest stu procentowo jasna. Wniosek podatnika z przychylną opinją organu odwoławczego przesyła się do właściwej instancji wyższej, której decyzja również wątpliwości nie ulega. Urząd skarbowy o tem wie, podatnik o tem wie, ale... i w tym wypadku nie wstrzymuje to obowiązku wpłacenia zakwestjonowanej sumy. Przy odrobinie wyobraźni nie trudno zdać sobie sprawę, z „antypaństwowego" charakteru rozmowy jaka się toczy przy uiszczaniu tego podatku, tym razem przy niewątpliwym współudziale samych urzędników skarbowych.

Łączne poruszenie tych i temu podobnych spraw, poruszenie ich jako jednego wielkiego zagadnienia, wydaje się kwestją na czasie, i wdzięcznem polem dla samorządu gospodarczego. Łączne dlatego, że jak mówiłem wyżej, tylko w tej formie nadać można sprawom techniki podatkowej stosowny ciężar gatunkowy, i przenieść dyskusję na poziom i forum bardziej sprzyjające pozytywnym rozstrzygnięciom.

m. n.

POLEMIKA

DR. KAZIMIERZ STUDENTOWICZ

PEREAT MUNDUS, FIAT IUSTITIA

Drukując niniejszy polemiczny artykuł p. Studentowicza oraz artykuł p. Poniatowskiego stanowiący częściową i mimowolną, bo bez znajomości artykułu p. Studentowicza, nadesłaną replikę, — zamykamy dyskusję, która przewijała się przez szereg ostatnich numerów Gospodarki Narodowej. Dyskusja, która wywiązała się na tle zagadnienia dewaluacji pieniądza i klauzuli złota, rozszerzyła się, obejmując zagadnienia inflacji i „uczciwości“ względnie „zaufania“. W tej sprawie pozostaliśmy wierni zasadzie naszej: otwierania łamów pisma nawet dla sprzecznych poglądów. Niestety, stwierdzić musimy, że zarówno to założenie, jak — specjalnie — treść niektórych artykułów p. Studentowicza, nie zostały zrozumiane przez całą prasę, wywołując fałszywe supozycje, jakoby Gospodarka Narodowa lansować chciała program inflacyjny.

Redakcja.

W numerze 9-tym i 10-tym*) Gospodarki Narodowej zająłem stanowisko wobec posunięć inflacyjnych oraz anulacji klauzuli złota w Stanach Zjednoczonych. Nie wiedziałem czy i co w tej samej sprawie zamierza napisać p. Poniatowski, który w Nr. 10-ym tego samego pisma zajął biegunowo przeciwne odemnie stanowisko, w numerze zaś następnym wystąpił z ostrem potępieniem moich zapatrywań**).

Jestem z pełnym szacunkiem dla dobrych chęci, jakiemi ożywiony, broni mój szanowny Przeciwnik uczciwości „przed zalewem oportunizmu szerzącego się w zastraszający sposób i dążącego do osiągania celów doraźnych kosztem przyszłości“. Uczciwość pojmuje p. Poniatowski „całkiem poprostu jako dotrzymanie zobowiązań“. Definicja ta mówi bardzo niewiele. Muszę się jednak starać wyciągnąć z niej, to co jest możliwe, a raczej domyśleć się tego, coby zapewne p. Poniatowski w tym względzie powiedział będąc mniej skąpym w słowach.

Nie mogę posądzić p. Poniatowskiego, żeby uważał za możliwe dotrzymanie w dobie kryzysu, zwłaszcza tak ostrego jak obecny, wszystkich zobowiązań bez żadnego wyjątku. Gdyby podobna możliwość istniała nie byłoby przecież wogóle żadnego kryzysu. Kryzys bowiem objawia się właśnie w ten sposób, że ktoś zaczyna nie dotrzymywać swoich zobowiązań, zmuszając tem samem z kolei cały szereg innych ludzi do niedotrzymania zobowiązań i tak ciągnie się ten łańcuch dalej, aż do swego logicznego końca. Po wypaleniu się kryzysu okaże się, że olbrzymia ilość zobowiązań została pogwałcona.

*) Nr. 9 z 1-go maja 1933 r.: Spadek dolara i Nr. 10 z 15-go maja 1933 r.: Klauzula złota i „uczciwość“.

**) Nr. 10-ty z 15 maja. 1933 r.: Dolar i nerwy oraz Nr. 11-ty z 1 go czerwca 1933 r.: O uczciwość bez cudzysłowu.

Muszę wobec tego przypuszczać, że p. Poniatowskiemu chodzi o to samo co mnie i każdemu innemu uczciwemu człowiekowi, a mianowicie o tego rodzaju postępowanie, któreby doprowadziło do niedotrzymania jaknajmniejszej ilości zobowiązań. I tutaj rozlatujemy się odrazu z p. Poniatowskim w dwie przeciwne strony.

P. Poniatowski jest zdecydowanie przeciwny wszelkiej akcji, mającej na celu czy to zapobieganie nadmiernemu spadkowi cen w drodze porzucenia waluty złotej połączonego z anulacją klauzuli złota i przejścia na manipulowaną walutę papierową, czy też tembardziej po zaistnieniu nadmiernie wielkiego spadku poziomu cen dążenie do jego podniesienia tą samą drogą. P. Poniatowski domaga się w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości bezwzględnego trzymania się waluty złotej z pominięciem wszelkich innych względów gospodarczych oraz stosowania z całą surowością litery prawa w stosunkach między wierzycielem i dłużnikiem w myśl zasady „pereat mundus, fiat iustitia“.

Nie wiem czy rozumiem dokładnie motywy, jakemi kierował się p. Poniatowski w zajęciu takiego stanowiska. Przypuszczam jednak, że są one następujące:

1) p. Poniatowski liczy się nadzwyczaj poważnie z czynnikami psychicznemi, które bezwątpienia należy uwzględniać specjalnie w krajach już raz dotkniętych klęską hyperinflacji;

2) domagając się jednak stosowania swoich rygorystycznych zasad do całego świata bez żadnego wyjątku nie pomijając nawet Anglji i Stanów Zjednoczonych, w których czynniki te odgrywają bez porównania mniejszą rolę, czyni to widocznie dlatego, że nie uznaje wcale możliwości świadomego wpływania na poziom cen w dowolnym kierunku za pośrednictwem odpowiedniej polityki kredytowej banku centralnego popartej w konieczności nadzwyczajnemi zarządzeniami ze strony państwa;

3) zaprzecza tem samem dwom prawom, które zdawałoby się winny stać poza nawiasem wszelkiej wątpliwości, a mianowicie że: a) istnieje nierozerwalny związek między ilością pieniądza, a jego wartością, inaczej mówiąc między nadbudową kredytową każdej waluty a poziomem cen, b) centralny bank w połączeniu w razie potrzeby z państwem mają nieograniczone możliwości wpływania na tę nadbudowę kredytową;

4) jeżeli p. Poniatowski nie uznaje obu prawd wymienionych w punkcie drugim to nie rozumiem, jak sobie wyobraża wogóle możliwości funkcjonowana waluty złotej. Jestem skłonny przypuszczać, że jego stanowisko posiada podłoże czysto emocjonalne i opiera się na *wierze* w cudowny automatyzm waluty złotej;

5) z drugiej strony obawa p. Poniatowskiego przed nadmiernym wzrostem poziomu cen, jakiby

jego zdaniem musiał nastąpić w razie porzucenia waluty złotej, świadczy o tem, że jednak uznaje on związek między ilością pieniądza i jego wartością, tylko że widocznie związek ten może jego zdaniem działać wyłącznie w jednym kierunku, a mianowicie w kierunku zwyżki cen i to zwyżki, której opanowanie leży poza granicami ludzkiej możliwości.

Nadwrażliwość p. Poniatowskiego na ewentualne nadużycia, jakim bezwątpienia może podlegać manipulowana waluta papierowa, odbija bardzo znamiennie od zupełnej obojętności z jaką się odnosi do wszelkich gospodarczych i społecznych następstw nadmiernego spadku cen. P. Poniatowski podjąwszy się roli obrońcy uczciwości domaga się „swego funta mięsa" bez względu na radykalną zmianę warunków stanowiących podłoże zaciągniętych zobowiązań. Posuwa się nawet tak daleko, że gotów jest traktować dłużnika względnie też państwo dążące do tego, żeby nie pozwolić wierzycielowi realizować premji, która bez żadnej zasługi przypadła mu w udziale, tak jak złośliwego bankruta względnie jak złodzieja schwytanego z cudzym zegarkiem. Jest to zupełne odwrócenie pojęć. Używając podobnego przykładu należałoby raczej porównać wierzyciela do chłopa, niechcącego zwrócić cudzego konia, który się przypadkowo zabłąkał do jego stajni. P. Poniatowski uważa, że wydając dłużnika na łup wierzycielowi potrafi doprowadzić dużo szybciej i łatwiej do ponownej normalizacji stosunków. Nie widzi on zupełnie, że zastosowanie podobnej metody jest gospodarczo uzasadnione, z punktu widzenia społecznego nie wywołuje rażących nierówności i jest praktycznie możliwe do przeprowadzenia tylko wtedy, gdy kryzys posiada charakter lokalny i jest z natury rzeczy ograniczony zarówno co do swego zasięgu jak i swej siły. Można pozwolić wtedy na to, żeby doszło do usunięcia narosłych dysproporcji w drodze bankructw przedsiębiorstw, które ze swej winy, czy też bez swej winy poszły w fałszywym kierunku. Kiedy jednak kryzys jest powszechny i doprowadza do tak wielkiej zniżki cen, że nawet zupełnie zdrowe i normalnie obdłużone przedsiębiorstwa zaczynają upadać, tak że całym gałęziom produkcji grozi ruina, pozostawiać bieg spraw samym sobie byłoby już nie uczciwością, ale szaleństwem.

Istnieją w takim wypadku tylko dwie drogi: Pierwszą z nich jest droga obrony waluty złotej przeprowadzenie akcji oddłużenia za pomocą przymusowej obniżki oprocentowania, przymusowej zmiany kredytów krótkoterminowych na średnio terminowe, przedłużenia czasokresu umorzenia długoterminowych pożyczek, daleko idących ograniczeń egzekucji i t. p. Wszystkie te zarządzenia są niczem innem jak arbitralnem łamaniem dwustronnie zaciągniętych zobowiązań. P. Poniatowski winienby chcąc być konsekwentnym uznać te wszystkie zarządzenia za nieuczciwe. Ja ich za takie nie uważam. Uważam je tylko za nieuchronną konsekwencję obrony waluty złotej i konieczny ratunek dłużnika przed wyzyskiem ze strony wierzyciela, któremu nie wolno pozwolić realizować premji, jaką uzyskał dzięki wzrostowi wartości pieniądza.

Uważam jednak, że dużo lepszą jest droga druga polegająca na niedopuszczeniu do sytuacji, w której nadmiernie wielka ilość zobowiązań musiałaby być niedotrzymana. Taką metodą jest w wypadku ustawicznie wzrastającej wartości złota porzucenie waluty złotej i prowadzenie polityki kredytowej, mającej za cel stałość krajowego poziomu cen z pominięciem stałości kursów zagranicznych.

Uważałbym, że ma jakiś sens obrona drogi pierwszej zamiast drugiej. Obrona jednak uczciwości bez cudzysłowu polegającej całkiem poprostu na dotrzymywaniu zobowiązań, wtedy kiedy dotrzymanie większości tych zobowiązań jest po prostu fizycznem niepodobieństwem, uznać muszę za doktrynę, nad którą życie przechodzi najspokojniej do porządku dziennego.

Koncepcja, jaką sobie stworzył p. Poniatowski o funkcjonowaniu systemu pieniężnego, jest że się tak wyrażę suchotnicza i pozwala mu żyć wyłącznie pod jarzącym blaskiem złota. Nic dziwnego, że nie widząc poza walutą złotą żadnego innego znośnego systemu pieniężnego, nie chce wogóle dopuścić myśli, że porzucenie waluty złotej może się stać nieodpartą koniecznością. Gdy wszystkie warunki wewnętrzne i zewnętrzne układają się dla tej waluty w sposób wysoce niepomyślny, załatwia się on z niemi z nadzwyczajną prostotą, twierdząc, że tego nie widzi i że „ewolucja rezerw Banku Polskiego *w żadnym razie* (podkreślenie moje) nie pozwala spodziewać się z tej strony katastrofy". Tym którzy są innego zdania doradza p. Poniatowski kurację anti-histeryczną. Zamiast używania tak mocnych słów mogę p. Poniatowskiemu zalecić, żeby spokojnie i na zimno przypatrzył się tej ewolucji na przestrzeni kilku ostatnich lat, poszukał przyczyn nieustannego spadku zapasu dewiz i rezerw złota Banku Polskiego, zastanowił się nad szeregiem ostatnich posunięć w zakresie polityki walutowej i wysnuł odpowiednie wnioski na przyszłość.

Na wypadek gdyby Polska znalazła się w sytuacji, w którejby nie mogła dłużej utrzymać parytetu złotego i skutkiem tego nastąpiła jego deprecjacja w odniesieniu do wartości złota, przewiduje p. Poniatowski odrzucenie złotego, jako miernika wartości i zniszczenie kapitalizacji wewnętrznej. Odwracając pytanie p. Poniatowskiego, chciałbym żeby mi był łaskaw przedstawić mechanizm tego „nieuniknionego" automatycznego spadku wartości złotego wyrażonej we wskaźniku towarowym.

Chciałbym wkońcu zwrócić uwagę na szereg pomniejszych szczegółów, które mnie uderzyły u p. Poniatowskiego. Przedewszystkiem zastanawia postawienie pod tym samym pręgierzem co Stany Zjednoczone również i Anglji, mimo notorycznie znanego faktu, że Anglja porzuciła parytet funta w warunkach, które zgóry przesądzały możliwość jego obrony.

Zdaniem p. Poniatowskiego „złagodzenie ciężaru długów zatrzymuje procesy likwidacyjne". Byłem zawsze przekonany, że je ułatwia i przyśpiesza. Może p. Poniatowski miał na myśli, że wstrzymuje falę licytacji, przy pomocy których wierzyciele byliby w możności wyzuć dłużników za bezcen z ich warsztatów pracy, gdyby przepro-

wadzenie naraz większej ilości licytacyj było praktycznie możliwe.

Nie rozumiem dlaczego p. Poniatowski imputuje mi „porównywanie procesu konjunkturalnego, gdy wartość pieniądza mogła wzrosnąć o kilkadziesiąt procent, ze zjawiskami obserwowanemi podczas hyperinflacji“, co się wydaje błędem metodologicznym. Oczywiście, że byłoby to, gdybym się tego dopuścił, porównywaniem dwóch nie współmiernych wielkości. Hyperinflacja jest jednak przecież równoznaczna z całkowitą anulacją wierzytelności, a ja mówiłem tylko o nadmiernej dewaluacji, mając wyraźnie na myśli mniej lub więcej ograniczony wzrost cen. Mogę w tem miejscu wyjaśnić p. Poniatowskiemu, że uważam walutę złotą za szkodliwą nie tylko wtedy, gdy doprowadza ona do spadku cen o 50%, ale i analogicznego ich wzrostu. I w tym ostatnim wypadku radziłbym również jej porzucenie na rzecz stałości poziomu cen, względnie żądałbym pewnej waloryzacji wierzytelności. Ciekawy jestem, czy wtedy również wystąpiłby p. Poniatowski z zarzutami nieuczciwości, oportunizmu, podkopywania zaufania i grzebania kapitalizacji.

NOTATKI

MEMENTO DLA URBANISTYKI.

Jest faktem niepodlegającym dyskusji, iż wzrost renty gruntowej u nas w miarę rozbudowy miast i osiedli jest niewysoki. Z drugiej strony i sama renta gruntowa jest u nas w miastach niska Jakie są powody i przyczyny oraz konsekwencje tego stanu rzeczy? Poruszamy tę kwestję z uwagi na naszą politykę urbanistyczną — na pewien brak wytycznych, który ją charakteryzuje.

Trudno wymagać od architekty-urbanisty, by orjentował się w zagadnieniach gospodarczych — toteż parę słów z teorji ekonomiki przyda się.

Jest rzeczą znaną, iż intensywność zabudowania jest proporcjonalna do relatywnej wysokości ceny placu. Wzrost zaś renty gruntowej zależy przedewszystkiem od udogodnień komunikacyjnych. Im są one większe, tem łatwiej wzrasta cena placów na przedmieściach, tem prędzej jednak wytwarzają się warunki intensywnego zabudowania wielopiętrowemi kamienicami dochodowemi.

W obecnych naszych warunkach udogodnienia komunikacyjne są przeważnie zaniedbane. Świadomie, czy nieświadomie? Odpowiedź „siłą braku kapitałów“ — byłaby niewystarczająca. O możliwości inwestycyj w tym kierunku decydowałaby rentowność tych inwestycyj, a ta w razie intensywnego zabudowania byłaby dość wysoka. Stąd ekonomista musi przyjąć iż zaniedbanie urządzeń komunikacyjnych dla placów podmiejskich jest wynikiem świadomej czy mimowolnej polityki urbanistycznej, a mianowicie dążności do opasywania miasta osiedlami o małej intensywności zabudowania, tworzenia z nowych dzielnic miejskich — miast-ogrodów. Gdybyśmy bowiem dążyli do intensywnego zabudowania przedmieść, to pierwszym krokiem w tym kierunku byłoby utworzenie sieci komunikacyjnej i urządzeń miejskich, którаby spowodowała szybszy wzrost renty gruntowej miejskiej.

Wniosek jednak, iż budowa domów rodzinnych jest związana z niskim poziomem renty gruntowej — byłby fałszywy. Albowiem sama renta jest podstawą zdolności kredytowej budującego i powinna być ona na pewnej wysokości, by zabudowanie placu nawet nieintensywne stało się możliwe.

Przeprowadzenie inwestycyj komunikacyjnych podnosi rentę do pewnych granic, czyni pewniejsze kredyty budowlane. Wzrost renty gruntowej, tem spowodowany, nie będzie tak znaczny, dopóki nie wywoła intensywnej zabudowy, — rentowność dokonanych inwestycyj będzie jednak tem niższa.

Staje więc dylemat: 1) miasta-ogrody, i ciężar dokonania inwestycyj komunikacyjnych, lecz niski wzrost renty gruntowej — lub 2) szybki wzrost inwestycyj, intensywne zabudowanie, i szybki wzrost renty, a zarazem zwiększenie sumy dochodów miejskich od jednostki powierzchni zabudowanej.

Wydaje się, że ze względów praktycznych należy godzić obydwa postulaty: stwarzać na jednej linji komunikacyjnej równocześnie osiedla intensywnie i ekstensywnie zabudowane

Bądź co bądź, cała nasza polityka „terenowa“ i „urbanistyczna“ winna liczyć się z prawami renty grutowej. Plany regulacyjne pozostaną pięknemi projektami na papierze, jeśli nie będą skonstruowane z uwzględnieniem tych praw i nie będą przewidywać możliwych źródeł pokrycia na inwestycje, jakie gmina będzie musiała dokonać na rzecz nowopowstających osiedli.

Pozwalam sobie wątpić, czy dotychczasowa polityka w sprawie zabudowy zamiejskich terenów była i jest dostatecznie przewidująca. O projektowanej gęstości zaludnienia na nowozabudowanych placach winny decydować nie tylko względy maksymalnej zdrowotności, lecz również konieczność i ciężar sfinansowania potrzebnych inwestycyj komunikacyjnych i w urządzeniach miejskich.

W. S.

NIEZAMIERZONE SKUTKI.

O ile magna pars opinji publicznej ustosunkowana jest negatywnie do wprowadzania nowych obciążeń publicznych, wzgl. rozszerzania zakresu istniejących, o tyle wita przychylnie wszelkie ulgi, przyznawane płatnikom w zakresie świadczeń na rzecz skarbu, komun, czy instytucyj publicznych. Conajwyżej wysuwany bywa zarzut, że ulgi są niedostateczne, że nie zdołają wystarczająco odciążyć płatnika.

Tego rodzaju stosunek grzeszy powierzchownością. Istniejący bowiem system obciążeń publicznych korygowany być może dwustronnie — przez rozszerzanie systemu obciążeń, bądź przez zwężanie tegoż, co zazwyczaj nazywamy ulgami. Dla wyjaśnienia dodamy, że wszelkie odwleczenie terminu płatności, nie wyrównane dorzuceniem procentów, oznacza redukcję zobowiązania. Ulgi zatem, niezależnie od tego, w jakiej formie występują, sprowadzić się dają w efekcie końcowym do zmniejszania zobowiązań tych grup płatników, dla których zostały przyznane. Jeśli zaś państwo, czy komuny dla pokrycia swych potrzeb muszą zebrać pewne quantum, to przyznaniu ulg pewnym kategorjom płatników musi odpowiadać odpowiednio zwiększony nacisk na inne kategorje. Są to refleksy pośrednie. Bywa jednak i gorzej — gdy ulgi wiążą się bezpośrdnio z obciążeniem pewnych kategoryj płatników.

Wypadek taki zachodzi w stosunku do ulg, odnoszących się wprawdzie nie do zobowiązań z tytułów publicznych, ale do zobowiązań w stosunku do funduszów publicznych, mianowicie Państwowego Funduszu Budowlanego. Jak wiadomo, z funduszu tego rozdzielane są kredyty budowlane, przyczem, w myśl obowiązujących przepisów dłużnik pokrywa tylko część oprocentowania (dawniej 4%, obecnie 2%), gdy różnicę między faktycznem oprocentowaniem (dawniej 8,94, obecnie przeciętnie około 7) t. zw. Fundusz Rozbudowy Miast, posiadający własne wpływy podatkowe.

Z mocy ustawy konwersyjnej obniżone zostało oprocentowanie papierów (znajdujących się na t. zw. związanym rynku), emitowanych przez B. G. K. na podkładzie pożyczek budowlanych; tem samem zmniejszone zostały świadczenia P. F. R. M. — zjawiły się wpływy — co tak rzadko się zdarza w obecnych warunkach — niezwiązane, którym nie odpowiadał obowiazek uiszczenia. Wkrótce wpływy te zostały skonsumowane na ulgi dla kredytobiorców. Klasyczny wypadek przewłaszczenia części dochodu narodowego na rzecz zespołu zainteresowanych. Z tego punktu widzenia nie wolno jednak kwestjonować omawianego posunięcia; takie przewłaszczenie dochodu może być niezbędne. Niestety, w danym wypadku jest usprawiedliwione tylko częściowo.

Położenie zobowiązanych z tytułu kredytów budowlanych jest istotnie ciężkie. Zmniejszenie zdolności płatniczej lokatorów, względnie posiadaczy domków na użytek własny, przy równoczesnym silnym spadku wartości budowli nakazywało przyjść im z pomocą. Pomoc ta jednak niezbędna była w obecnych, wierzmy, szczególnych warunkach. Jutro może być zbędna — i to już niedługo. Silny przyrost ludności i brak mieszkań, zwłaszcza małych, hamuje spadek czynszów. Zarysowuje się nawet lekka zwyżka cen mieszkań. A jeśli tendencja ta przybierze na sile, przyznane ulgi staną się niezasłużoną premją, wypłacaną na rzecz posiadaczy nieruchomości, budowanych przy pomocy kredytów z P. F. B.

Ulgi zatem uzasadnione są rebus sic stantibus — w warunkach obecnych. Wszelka zmiana położenia na rynku mieszkaniowym może powodować ich zbędność. Tymczasem obowiązywać będą przez długie, długie lata, do czasu zamortyzowania udzielonych kredytów. I tyleż lat społeczeństwo ponosić będzie ciężary.

W tym zakresie ulgi odciążają dłużników na zbyt długi okres czasu.

I jeszcze jedna uwaga. Obniżenie kosztu obsługi kredytów budowlanych spowodowało zniżkę „kosztów własnych" właściciela budynku, czy lokalu. Zgodnie z obowiązującą teorją wślad zatem winna wystąpić obniżka czynszów — przynajmniej w nowowznoszonych budowlach, kredytowanych przez B. G. K., co zresztą nie pozostałoby bez wpływu na układ stosunków na rynku mieszkaniowym. Tymczasem, jak to już zaznaczono powyżej, ceny mieszkań ujawniają tendencję zwyżkową.

Ten rezultat — pozornie nieoczekiwany — wywołany został zmniejszeniem podaży mieszkań. W domach spółdzielczych bowiem zniżka opłat pozwala większej ilości członków na użytkowanie własnych mieszkań — nie podnajmowanie ich. Odbiło się to na zmniejszeniu podaży mieszkań, zwłaszcza małych. Sytuacja zatem układa się podobnie, jak w pierwszych latach powojennych. Sprowadzenie komornego niemal do zera zahamowało podaż i spowodowało gwałtowną zwyżkę cen mieszkań na wolnym rynku.

Oto niezamierzone skutki ulg w zakresie kredytu budowlanego.

R.

PRACUJ NA LĄDZIE...

Ktokolwiek miał „szczęście" korzystać z komunikacji na Wiśle, ten na zagadnienie dróg wodnych w Polsce (poza b. dzielnicą pruską) będzie patrzył bez jakichbądź okularów. Wystarczy raz jeden zakosztować „przyjemności" podróżowania statkiem po „królowej rzek polskich", aby na zawsze wybić sobie z głowy posługiwanie się — czy to dla celów turystycznych, czy też w celach handlowych — tem, co jakby na urągowisko nosi nazwę statków. Stare, wyaranżerowane pudła, rozdygotane „łopatkowce", przypominające pierwsze próby nieboszczyka Fultona, ciasne, brudne arki mają jeszcze to do siebie, że nie stosują się do rozkładu jazdy i że nad kwestją regularności, punktualności i szybkości przechodzą nonszalancko do porządku dziennego. Na przystaniach, które poznać można po nędznych szopach bez tablicy z nazwą miejscowości, do której są „przywiązane", panuje słodka nieświadomość przybycia i nazwy „okrętu". W razie katastrofy, utknięcia na mieliźnie i t. p., dotknięci „awarją" podróżni mogą liczyć jedynie na los szczęścia, żadna bowiem ze stacyj nie posiada telefonu, a konkurencyjny statek nie rzuci liny i na swój pokład nie zabierze „rozbitków".

W piśmie gospodarczem nie wypada pisać o geografji, a wymyślanie kilku wegetującym przedsiębiorstwom nie miałoby żadnego sensu. Piszącemu te słowa chodzi jednak o co innego: o rolę komunikacji wodnej w Polsce centralnej. W dzisiejszym stanie rzeczy, trwającym od lat kilkunastu, ale stale się pogarszającym, komunikacja ta przedstawia się niżej wszelkiej krytyki. Mówiąc o komu-

nikacji pasażerskiej, mamy na myśli z jednej strony turystykę, z drugiej zaś — normalny ruch osobowy, związany przeważnie z ruchem towarowym. Otóż podkreślić należy, iż w epoce, kiedy wszędzie — nawet w Polsce — robi się b. wiele dla udostępnienia szerokim masom środków komunikacji lądowej, kiedy pociągi i autobusy dają maximum szybkości i wygody przy minimum kosztów — to komunikacja wodna śródlądowa, która posiłkuje się nie przez siebie wymyślonem hasłem („Pracuj na lądzie, odpoczywaj na wodzie!") rozwojowi turystyki staje bezapelacyjnie wpoprzek. Aczkolwiek sama stolica, pokazując Wiśle śmietniki i najgorsze obdrapańce, w żadnym razie nie przypomina Loreley, a ¾ brzegu Wisły nie zawiera nic ciekawego, to jednakże nad Wisłą są miejscowości, których położenie lub pamiątki historyczne stanowią dostateczny powód, aby zainteresować niemi tysiączne rzesze „lądowców", dla których kajak, żaglówka czy ślizgowiec są z tych czy innych przyczyn niedostępne. Turysta, któremu każą się wlec godzinami, przebywać na ciasnym pokładzie, zawalonym towarami, znosić upał w t. zw. (niesłusznie) kabinie od umieszczonych tam niedowcipnie przewodów, narażać się na prysznic z nieszczelnego pokładu etc., turysta, który wie, z jaką szybkością porusza się motorówka lub ślizgowiec, wyrzeknie się takiego środka lokomocji, równego jedynie stołecznym kolejkom podmiejskim. Na takie same udręki skazany jest pasażer- nie turysta, przyczem tortury, jakim go poddają, są przez to dotkliwsze że posiłkuje się on często statkiem w górę rzeki, a przez to kilkakrotnie dłużej od turysty przebywa na nieszczęsnym „Hetmanie" lub „Fredrze".

Marnując atuty, jakie daje rzeka, nawet taka jak Wisła, komunikacja wodna śródlądowa odpycha współczesność, reprezentowaną przez turystykę, podcina normalny ruch pasażerski i hamuje ruch towarowy. Co do tego ostatniego, przedsiębiorstwa przewozowe z nieprawdziwego zdarzenia mają na swe częściowe usprawiedliwienie fatalny stan rzeki, nieuregulowanej, kapryśnej, utrudniającej żeglugę. Do tych cudzych win dorzucają jednak i własne, gdyż i tutaj nie idą one z postępem, nie posiadając szybkich statków i holowników, nie pilnując regularności ruchu i t. p. Pieniądze, które nie wiadomo z jakiej racji pakuje się w budowę trzeciego w stolicy portu wiślanego (Żerań), podczas gdy dwa pierwsze (na Saskiej Kępie i czerniakowski) są niewykończone i słabo wykorzystane, powinny być raczej zużyte na udoskonalenie i modernizację środków lokomocji wodnej. Jeżeli nie dojdziemy do przekonania, że w dzisiejszych warunkach budżetowych, czyniących mit z regulacji Wisły, tudzież przy współczesnych możliwościach komunikacyjnych na lądzie i w powietrzu na komunikacji śródlądowej należy poprostu postawić krzyżyk, to zaprzeczenie temu nonsensowi, jakim jest obecna komunikacja wodna w Polsce Środkowej, może nastąpić jedynie, w każdym razie przedewszystkiem na odcinku trakcji, stojącej dzisiaj na poziomie, szkodzącym interesom gospodarczym kraju. Jest to w równym stopniu zagadnienie gospodarczo-regjonalne, w którem zainteresowane są stolica, miasta i wsie, położone nad większemi rzekami, jak i problem ogólno-ekonomiczny, gdyż usprawnienie każdej komunikacji potania towar i rozszerza obroty.

k. b.

ET TU BRUTE...

„Prawy kącik" działu „Życie gospodarcze" w „Gazecie Polskiej", w którym się mieszczą „uwagi" na temat aktualnych wydarzeń z dziedziny polityki gospodarczej, przynosi zwykle wiele trafnych i ciekawych spostrzeżeń. „Uwagi" te czytuję zwykle z prawdziwym zainteresowaniem i z uznaniem dla wyrażanych w nich poglądów. Tem większe było moje rozczarowanie, a zapewne i nietylko moje, po przeczytaniu w nr. 203 z dn. 25 lipca b. r uwagi na temat „Administracyjnego Regulowania Cen".

Autor tak zatytułowanej notatki, zwracając się przeciwko wysuwanym przez t. zw. organizacje gospodarcze zastrzeżeniom w sprawie rządowego projektu rozporządzenia o zwalczaniu gospodarczo nieuzasadnionych cen , argumentuje:

„Regulowanie cen w drodze administracyjnej — rzecz jasna — nie jest dla życia gospodarczego zjawiskiem pożądanem. Byłoby, oczywiście, lepiej, gdyby państwo mogło uniknąć stosowania zarządzeń administracyjnych w tej dziedzinie. Byłoby lepiej, gdyby prawo popytu i podaży było jedynym czynnikiem, wyznaczającym poziom cen. Wszakże, jeśli chodzi o nasze stosunki, to ingerencja państwa w dziedzinę kształtowania się cen wydaje się być niekiedy nieodzowną dlatego chociażby, że prawo popytu i podaży w obrocie niektóremi towarami poprostu nie działa, względnie działanie jego jest ograniczone. W takich wypadkach zarządzenia administracyjne nie mają nic innego na celu, jak tylko przywrócenie warunków, w których prawo popytu i podaży mogło z całą swobodą działać. Nie mamy tu na myśli zrzeszenia kartelowego, gdyż podstawę do ingerencji państwa w dziedzinę cen artykułów skartelizowanych stwarza ustawa o kartelach.

Chodzi nam tu głównie o te warunki hamujące działanie prawa popytu i podaży, które zostały wytworzone naskutek nadmiernych ogniw pośrednictwa w handlu, zacofanych metod handlu itp Ograniczając się jedynie do zaznaczenia tych okoliczności, chcemy podkreślić raz jeszcze, że zarządzenia administracyjne mogą w takich wypadkach przynieść doniosłe z ogólno-gospodarczego punktu widzenia (a nietylko z punktu widzenia ochrony konsumenta) rezultaty".

Argumentacja ta kłóci się niestety wyraźnie z zasadami ustalonemi w ekonomji, a które musimy uznawać za abecadło wszelkich nauk gospodarczych. Otóż przy administracyjnem regulowaniu cen prawo podaży i popytu będzie zawsze jedynym czynnikiem, wyznaczającym poziom cen. Nauki ekonomiczne nie znają wypadku, w którymby prawo podaży i popytu nie „działało". Nauki ekonomiczne nie znają również wypadku, w którym prawo podaży i popytu byłoby „hamowane". Oddziaływanie wszelkich czynników może mieć je-

dynie wpływ na wielkość jednej ze stron t. zn. na rozmiary podaży czy rozmiary popytu. Samo działanie prawa podaży i popytu nie ulega żadnym ograniczeniom. Prawo to jest równie „nieomylne" w swem działaniu, jak np. fizyczne prawo o działaniu i przeciwdziałaniu. Tem samem rozważania na temat „zawieszenia" „nie zawsze działającego" prawa podaży i popytu nadają się raczej do prowadzonego przez pewne pismo działu „Kurjer Metapsychiczny: Dziwy życia" niż do dobrze redagowanego działu gospodarczego poczytnego dziennika.

Sprawa nie byłaby sama przez się ważna, gdyby rozumowanie o „wyłączalnem" prawie podaży i popytu nie prowadziło w konsekwencji do pomysłów zarządzeń „mogących przynieść doniosłe z ogólno-gospodarczego punktu widzenia rezultaty w zakresie administracyjnego regulowania sprawy: „niedmiernych ogniw pośrednictwa w handlu, zacofanych metod handlu i t. d.".

Nie mam pod ręką danych, by móc sprawdzić, co myślał na ten temat Hammurabi, lecz z bliższej acz odległej przeszłości leży przedemną tekst rozporządzenia wydanego przed szesnastu przeszło wiekami w sprawie cen maksymalnych przez Dioklecjana, wyznaczającego karę śmierci za pobieranie zbyt „wygórowanych cen". Kroniki nie zaliczyły tego rozporządzenia do rzędu rozporządzeń skutecznych, a tem samem celowych. Podobno historja jest „nauczycielką życia". Jeżeli tak jest, to na podstawie danych, dotyczących prób „zawieszania" prawa podaży i popytu za czasów Dioklecjana (wiele razy przedtem i wiel razy potem) możnaby dojść do przekonania, że nie jest to zbyt produktywne zajęcie.

b. ł.

PRZYJACIELE SPÓŁDZIELCZOŚCI.

P. Jerzy Kurnatowski, znany z tego, że poziom cywilizacyjny krajów utożsamia z postępem lub degresją obrotów hurtowni spółdzielni spożywców [1]), zamieścił w wydawnictwie zbiorowem „Życie gospodarcze a ekonomika społeczna" (Lwów 1933) artykulik p. t. „Spółdzielczość a kryzys". Przyczyną, która nas skłania do omówienia parostronicowego „przyczynka", jest to, że napisał go profesor i doktór, a zatem w nieuświadomionej opinji publicznej — spółdzielczej zaś w szczególności — może być poczytywany za ostatni wyraz wiedzy ekonomicznej, podawanej nota bene ex catedra.

Myśl artykuliku jest mniej więcej taka: „Kryzysy zawsze sprzyjały rozwojowi, a nawet powstawaniu spółdzielczości" — „pokaźna siła ekonomiczna", jaką reprezentują pracownicy „wszelkiego rodzaju", „powinna w całości służyć rozwojowi spółdzielczości" — spółdzielczość w Polsce (poza kooperacją spożywców) prowadzi się niemoralnie — „spółdzielczość jest jednym z najskuteczniejszych środków, jeżeli nie zupełnego usunięcia kryzysu, to w każdym razie jego znacznego złagodzenia, lecz spółdzielczość może rozwijać się tylko na podłożu dość wysokiego poziomu moralno - intelektualnego, którego sama o własnych siłach całkowicie stworzyć nie jest w stanie".

Naumyślnie myśl przewodnią „przyczynka" podaliśmy w postaci cytat, aby nie być posądzonymi o wykrzywienie zasad, przyświecających prof. dr. K. Sam czytelnik zapewne zrozumie, że coś tu nie „sztymuje". że się wszystko nie trzyma kupy, że jest równie błędne, co bałamutne i że nie daje odpowiedzi na pytanie, jaką rolę może odegrać spółdzielczość chociażby dla „znacznego złagodzenia" kryzysu. Jeżeli „wszystkie nieomal kooperatywy rolniczo - handlowe Zjednoczenia Związków Spółdzielni Rolniczych są w stanie agonji" (stan ten nawet w połowie nie odpowiada prawdzie), jeżeli — dalej — „najlepiej pomyślane instytucje" spółdzielcze działają w Polsce „na gruncie o niskiej kulturze", jeżeli — następnie — społeczeństwo nie interesuje się spółdzielczością i jeżeli — nakoniec — spółdzielczość nie jest w stanie nic na to poradzić własnemi siłami — to jak w takich warunkach można mówić o wpływie kooperacji na przebieg konjunktury. Między tem, co być powinno, a tem, co jest w rzeczywistości (która zresztą układa się inaczej, aniżeli podaje w swym schemacie p. K.) zachodzi zbyt duża rozpiętość, aby dało się utożsamiać spółdzielczość z regulatorem konjunktury lub kompresem, przykładanym na bolesne miejsca. A jeżeli już zgodzimy się, że tak być powinno, jak chce p. K., to na miły Bóg trzeba jakoś inaczej przekonywać społeczeństwo o potrzebie popierania kooperacji, gdyż argument w stylu: „Szerokie masy każdy groszowy choćby zakup winny dokonywać w spółdzielczych sklepach spożywczych, a inteligencja oczywiście winna świecić im przykładem" — trąci myszką, pachnie naiwnością i urąga zasadom dobrej propagandy.

Rozwój lub upadek spółdzielczości zależeć będą od tego, czy i w jakim stopniu masy odczują potrzebę skupiania się przy kooperacji oraz czy i w jakim stopniu kooperacja odpowie wymaganom gospodarki XX stulecia. Nic nie pomoże powoływanie się na świetlanej pamięci „pionierów roczdelskich", gdy współczesne angielskie kooperatywy spożywców dalekie są od roli, którą im p. K. usiłuje przypisać. Nie da rady posiłkowanie się rolniczą spółdzielczością duńską, jako przykładem — zresztą oderwanym — wzrostu dochodu narodowego, skoro aktualne przykłady kanadyjskich „pool'i" (któremi p. K. tak bardzo się entuzjazmuje) dowodzą bezradności kooperacji wobec kataklizmu światowej depresji gospodarczej i pauperyzacji masy rolniczej. Nowe, b. skomplikowane czasy wymagają zupełnie nowych metod podejścia do zagadnienia, które bynajmniej nie zasługuje na „przyjacielskie" rady w stylu artykuliku prof. dr. Kurnatowskiego. Boże! chroń mnie od moich przyjaciół!...

z. i.

---

[1]) Zob. „Spółdzielczy Przegląd Naukowy" 2/1933 r.

KONSUMENT OBOK CELNIKA.

Współczesna wojna gospodarcza — bellum omnium contra omnes — wojna prowadzona w imię interesu gospodarczego danego kraju udoskonaliła, rozszerzyła i wzbogaciła repertuar środków walki zaczepnej i obronnej. Granice najeżyły się murami ceł ochronnych, zakazy przywozu stanęły wpoprzek naturalnych dróg ruchu towarowego. Ale jak każda rzecz, tak i to zjawisko, ma swoją stronę odwrotną. Równolegle z rozwojem aparatury służącej do hamowania niepożądanego importu rozwija się i aparat stawiający sobie za cel omijanie działania pierwszego z nich. Patrząc objektywnie na sprawę, musi się stwierdzić, że rozwój przemytnictwa jest nieuchronną konsekwencją rozwoju protekcjonizmu i reglamentacji. Ale... Czy można pozwolić sobie na objektywizm w warunkach bellum omnium contra omnes? Czy można pozwolić sobie na objektywizm w warunkach kurczącego się budżetu i topniejących rezerw kruszcowo-walutowych? Stanowczo nie. Jak jednak poradzić sobie z faktem, że zjawisko przemytu jest — jakeśmy mówili wyżej: nieuchronnym rezultatem wytworzonej sytuacji, i że walka z niem przez właściwe organy administracji publicznej z natury rzeczy nigdy nie może doprowadzić do pełnego wytępienia przemytnictwa?

Ostatnie lata i miesiące wojny gospodarczej wskazują na niespodziewaną skuteczność środka znanego oddawna, ale niedocenianego, a bodajże nawet lekceważonego. Stosunek kupiectwa chińskiego do handlu z Japonją i kupiectwa żydowskiego do handlu z hitlerowskiemi Niemcami wskazuje, że w pewnych warunkach metoda bojkotu społecznego działa naprawdę skutecznie i wydatnie. Na drodze rozszerzania zakresu reglamentacji przywozowej zaszliśmy już bardzo daleko, pozostały już nam bardzo nieznaczne możliwości. Natomiast na drodze walki społecznej z przemytnictwem, naruszającem politykę restrykcyj importowych czynimy zaledwie pierwsze kroki. Zważywszy na znaczny wzrost uświadomienia gospodarczego społeczeństwa, zważywszy na to, iż naprawdę szerokie masy zdają sobie sprawę z tego, że przyszłość waluty zależy od stanu naszego bilansu handlowego wydaje się zupełnie realną możliwością zmobilizowanie energji społecznej do walki z nielegalnym przywozem. Trudność do pokonania leży tu bodajże nie po stronie społeczeństwa, lecz po stronie organizującej opinję publiczną, to znaczy po stronie prasy, która nie zdaje sobie sprawy z tego, w jak poważnych wielkościach wyrażają się cyfry przemytu i nie wykazuje dostatecznego zainteresowania dla podjęcia akcji pedagogicznej. Ostatnio inercja prasy przełamana została z inicjatywy Państwowego Monopolu Tytoniowego, który wszczął akcję wymierzoną przeciwko jednej z najbardziej rozpowszechnionych a podwójnie szkodliwej postaci przemytu — przeciwko przemytnictwu tytoniu zagranicznego. Po za bezpośredniemi rezultatami w dziedzinie walki z nielegalnym przywozem zagranicznego tytoniu, akcja P. M. T. powinnaby dać rezultat o jeszcze szerszem znaczeniu, powinnaby zwrócić uwagę prasy i opinji publicznej na zagadnienie stworzenia szerokiego frontu bojkotowego w stosunku do szmuglowanego towaru.

b. f.

MURY CELNE.

Jednym z głównych celów Konferencji Londyńskiej było złagodzenie utrudnień importowych, udokumentowane i podkreślone zostało przez rozejm celny. Oto krótka niekompletna rekapitulacja zmian w zarządzeniach *regulujących* import, jakie w owym okresie czasu nastąpiły: w Chinach nowa, znacznie podwyższona taryfa celna i uciążliwe przepisy o znakowaniu; w Czechosłowacji nowa podwyższona taryfa; we Francji znaczna podwyżka ceł, ukrytych pod nazwą taks od pozwoleń przywozu; w Hiszpanji skontyngentowanie przywozu artykułów hodowlanych; w Holandji skontyngentowanie kaszy, jęczmienia i bielizny; na Litwie podwyżka 50 pozycyj celnych, sięgająca 100%; na Łotwie liczne zwyżki celne; w Mandżukuo nowa podwyższona taryfa; w Portugalji generalna zwyżka taryfy; w Rumunji objęcie kontyngentami około 400 pozycyj celnych; w Szwajcarji skontyngentowanie strączkowych i wyki; w Turcji nowa podwyższona taryfa i upoważnienie rządu do dalszych podwyżek; w W. Brytanji szereg podwyżek celnych. Jedyne ulgi dla importu stworzono w traktatach angielsko - skandynawskich, względnie w niemiecko-angielskim i niemiecko-holenderskim, ulgi wyraźnie preferencyjne, na całokształt międzynarodowych obrotów towarowych wpływające raczej ujemnie.

Plon jak na krótki okres czasu dostatecznie obfity, aby można przypuszczać, że „Światowa Gospodarcza" nie tylko nie osłabiła tempa rozbudowy murów celnych, lecz je przyśpieszyła. Da się to zresztą uzasadnić. Oczekując, że będą powołane do złożenia ofiar na ołtarzu gospodarstwa światowego — państwa przygotowywały sobie owe ofiary, przewidując ,że dla murarzy ogłoszona będzie świętówka, tem energiczniej, póki czas, uzupełniały swe mury celne. Przeto fiasko londyńskie pozwala się spodziewać okresu względnego przynajmniej spokoju na czas najbliższy.

Jest znana przypowiastka o człowieku, który swój chleb cały tydzień zapijał wodą mętną. aby w całej pełni rozkoszować się w niedzielę smakiem wody czystej. Taką więc właśnie przyjemność przygotowała handlowi międzynarodowemu Konferencja Londyńska, o ile koniecznie doszukiwać się jakichś dodatnich rezultatów jej pracy w tej dziedzinie.

w.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". **CZESŁAW BOBROWSKI**

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.